EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 listopada 1938 r. ROK V Nr 33 (136)

Paryż po Monachium

„Mówią nam, że powinniśmy wycofać się z Europy, zamknąć się w granicach naszego wspaniałego Imperium. Ale jak obronimy nasze Imperium, gdy przestaniemy być mocarstwem na kontynencie europejskim?"

„Aube" (organ katolickiej demokracji francuskiej).

„Kapitulacja przed dyktaturami nie może sprowadzać się tylko do polityki zagranicznej. Ci, którzy oddali dyktatorom panowanie w Europie środkowej, będą musieli wkrótce dla zadośćuczynienia ich żądaniom, przystąpić do ograniczania naszej własnej wolności".

Winston Churchill.

„Kiedy demokracja jest osłabiona wewnętrznymi sporami i wzajemną podejrzliwością wyrastającą z niesprawiedliwości społecznej, wtedy nie może ona sprostać autokracjom, które są dość bezwzględne, by zdławić spory wewnętrzne".

Prezydent Roosevelt.

Francja, kraj. który dla wielu w Europie uchodzi za wcielenie demokracji i wolności, przechodzi znowu ciężkie chwile. Znowu, jak nieraz już, reakcja francuska podejmuje atak na bastiony Republiki, próbuje uchwycić w swe dłonie władzę nad Francją. Dla nas, dla obozu polskiej demokracji, walka tocząca się we Francji ma podwójnie doniosłe znaczenie. Czyż nie od demokracji francuskiej uczyliśmy się, uczyła się myśl demokratyczna polska walki o prawa i wolność ludu? Od Kościuszki ciągnie się nieprzerwany poczet demokratów, postępowców, socjalistów polskich, co w ruchu ludowym, w ruchu demokratycznym Francji szukali wzorów i drogowskazów swej własnej walki. Po drugie: Francja jest sojuszniczką Polski. Uważamy ten sojusz za niezbędny dla obu krajów, uważamy go za nakaz ich realnych interesów, jednakowo zagrożonych przez odrodzony imperializm teutoński. A tak się składa, że właśnie w obozie reakcji francuskiej zasiadają ci, co radzi by ten sojusz przekreślić i zastąpić czwórkową grą w bridża w monachijskich czy godesberskich salonach. Walka, która się toczy we Francji, wynik tej walki, może mieć doniosłe znaczenie i dla rozwoju stosunków polsko-francuskich. Czyż to wszystko nie wystarcza, byśmy tę walkę obserwowali z najbaczniejszą uwagą, z najżywszą sympatią?

***

Kilka miesięcy temu, Francja była jeszcze wielką potęgą w Europie. Posiadała potężny, doskonale zorganizowany, związany w jedną całość ścisłą współpracą sztabów, system sojuszniczy na Południowym Wschodzie Europy. Pomimo pewnych trudności na niektórych jego odcinkach, system ten zapewniał Francji samodzielność polityczną w Europie. Podpis, położony przez p. Daladiera na monachijskich protokółach, poderwał głęboko, jeśli już nie unicestwił, znaczenie Francji jako mocarstwa na kontynencie europejskim.

Ludzie, którzy doprowadzili do tego rezultatu, posiadali przygotowaną już argumentację dla swej polityki: Było wielkim błędem traktatu wersalskiego, wersalskiej polityki francuskiej, iż mieszała ona Francję w spory środkowo-europejskie, które ją zupełnie nie obchodzą, że kazała jej pilnować porządku nie tylko

nad Renem, ale i nad Dunajem i Łabą. Francja nie powinna być żandarmem Europy. Zastąpi ją w tej zbożnej pracy żołnierz niemieckich S. S., „czarny“ policjant Trzeciej Rzeszy. Francja powinna wycofać się za Ren, powinna zwrócić się ku tej wielkiej „Francji zamorskiej“, którą stanowią olbrzymie, nie w pełni jeszcze wykorzystane przestrzenie Imperium Francuskiego. Tam, w gąszczach puszcz Togo i Kamerunu, na polach ryżowych Indochin, w piaskach Sahary, które nawodnieniem można zmienić w urodzajne łany zbóż, leży przyszłość narodu francuskiego. Tyłem do Europy, frontem do Imperium Francuskiego! — oto było hasło bloku daladierowskiego, sięgającego od, do niedawna lewo-radykalnej „Oeuvre“ po hitlerowskiego gratulanta, Flandina i po faszystów z „Partii Społecznej“ de la Rocque'a. Hasło odzwierciedlające zresztą pewne zupełnie konkretne interesy: wielki i największy kapitał francuski wolał wycofać się z niepewnych interesów Europy Środkowej, wolał dopuścić do nich, jako swego wspólnika, finansowych mocodawców niemieckiej dyktatury, z którymi zresztą, od dawna i bez tarć, współpracował w szeregu dziedzin, a samemu poszukać nowych zysków we wzmożonej eksploatacji własnego imperium. Rachunek był niegłupi, miał tylko jedną wadę: że nie liczył się z przeciwnikiem.

Władcy trustów francuskich, rzecz ciekawa, ciągle jeszcze nie doceniają swych niemieckich partnerów. Sami świetni specjaliści od posługiwania się wszelką „ideologią“, biorą ją zbyt poważnie u Niemiec. Zdaje się, pewne koła finansowego kapitału francuskiego wierzyły doprawdy i na serio, że Niemcy zadowolą się „zjednoczeniem rasy germańskiej“ — plus taki sobie mały dodatek z basenu naddunajskiego. Takie przynajmniej robił wrażenie ton wielko-kapitalistycznej prasy francuskiej, przekonywującej gorączkowo Niemcy, że powinny iść wszędzie, na Południe, na Wschód, tylko nie na Zachód i nie do kolonii. Niemcy słuchały i połykały Czechosłowację. A teraz, kiedy już ją połknęły, kiedy ostatni akt tragedii czechosłowackiej, arbitraż wiedeński, odbył się już w ścisłych ramach osi, z wykluczeniem innych, monachijskich partnerów, Niemcy i Włochy zgłaszają nowe, tym razem kolonialne pretensje. W Hamburgu funkcjonuje już nawet szkoła, przygotowująca w pośpiesznym tempie funkcjonariuszy dla tych nowych, niemieckich kolonii.

Mr. Chamberlain, człowiek grzeczny i ustępliwy, gotów jest i tym razem ustąpić swemu godesbersko-berchtesgadeńskiemu przyjacielowi. Oczywiście, jak i poprzednio, nie kosztem własnym. Jeśli koszt jego monachijskiej „deklaracji pokojowej“ zapłaciła bezpośrednio Czechosłowacja, a pośrednio, swym znaczeniem mocarstwowym, Francja, to teraz koszt kolejnego traktatu pokojowego p. Chamberlaina ma zapłacić już bezpośrednio Francja. Minister Afryki Południowej Pirow, sam Niemiec z pochodzenia, gorący wielbiciel kanclerza Hitlera jeszcze od 1933 r., zawiózł do Berlina projekt oddania Niemcom ...francuskiego Togo i Kamerunu, oraz portugalskiej Angoli i belgijskiego Konga. Równocześnie zaś „Times“, organ Astorów, specjalizujący się oddawna w popieraniu wszystkich życzeń Trzeciej Rzeszy, wysuwa propozycję „reorganizacji systemu kolonialnego“, zawierającą m. i. zakaz utrzymywania przez Francję wojsk kolonialnych, mogących być użytymi w Europie! Francja, która już straciła poważną część swego znaczenia jako mocarstwo kontynentalne, ma obecnie utracić nie mniej poważną część swego znaczenia jako mocarstwo kolonialne.

Nie chodzi tu bowiem tylko o Kamerun i Togo. Gen. Weygand, daleki od wszelkiego „fołksfrontu“, ogłasza właśnie obszerne studium, dowodzące jaknajbardziej precyzyjnie, że oddanie tych kolonii, to zagrożenie całego Imperium, to narażenie Marokka i całej Afryki Równikowej, to niebezpieczeństwo wielkiej wojny kolonialnej. A obok żądań niemieckich są przecież jeszcze żądania Włoch, zgłaszających pretensje do Tunisu i częściowo Algieru. Tego już nie chcieli panowie trustów francuskich. Nie chciała tego w każdym razie znaczna ich część.

Inaczej bowiem trudno byłoby wytłumaczyć fakt, że tym razem i prawica francuska, która tak gorąco witała Monachium, przyłącza się do protestu. Uchwaliła — na swym kongresie marsylskim — nie oddawać kolonii, rządząca partia radykalna. Uchwaliła prawicowa Unia Republikańska Marina. Uchwalili motywując to niemożliwością oddania bodaj jednego kolorowego człowieka pod panowanie hitlerowskiego rasizmu — socjaliści i komuniści francuscy. Słowem — powstał na tym ograniczonym odcinku rodzaj „jednolitego frontu Francuzów“. Pod naciskiem opinii p. Daladier złożył oświadczenie, zaprzeczające, jakoby, podczas wizyty ministrów angielskich, miało być omawiane jakiekolwiek ustąpienie francuskich terytoriów kolonialnych lub mandatowych Niemcom. „Oddamy Togo i Kamerun Niemcom, jeśli Anglicy oddadzą nam Kanadę“ — pisała „Oeuvre“. Mr. Chamberlain będzie miał ciężki orzech do zgryzienia w czasie swej wizyty.

Oczywiście — nie trzeba było by tego wszystkiego, gdyby nie kapitulacja monachijska. A gdyby nawet Niemcy wysunęły były bez niej swe pretensje kolonialne, o ile łatwiej byłoby je odeprzeć, gdyby, na południowy wschód od Berlina w okopach „linii Fauchet“ stały jeszcze oddziały sojuszniczej armii czechosłowackiej? Czy nie mieli racji ci, co wskazywali, że kapitulując w Monachium, p. Daladier nie tylko działał na rzecz Faszinternu, ale równocześnie naraził na szwank Imperium Francuskie?

Monachium w rzeczywistości francuskiej

Jedną z głównych przyczyn kapitulacji monachijskiej była nienawiść francuskich magnatów trustowych do mas ludowych Francji. Hitlerowska dyktatura wydawała się aryjskim i semickim przedstawicielom „dwustu rodzin“ Francji wysoce korzystnym narzędziem okiełznania ruchu wolnościowego, który wysoko podniósł się we Francji w latach ostatnich. Czterdziestogodzinny tydzień pracy, płatne urlopy, daleko idące ubezpieczenia społeczne — wszystkie te zdobycze, wywalczone przez Zjednoczenie Ludowe, stanowią dla władców „Haute Banque“ wcielenie bolszewizmu i przewrotu. Czyż straszak hitlerowski, widmo pikielhauby i brunatnych koszul nie nadawało się świetnie do poskromienia krnąbrnego proletariatu paryskiej banlieue? Bagnety pruskie — to przecież tradycyjna, jeszcze od czasów dziadzia Thiersa, ostoja francuskiej reakcji. Dlatego właśnie reakcja francuska tak chętnie i radośnie zaakceptowała Monachium. Bała się ona, by nawet bezkrwawa porażka Trzeciej Rzeszy (a taka właśnie bezkrwawa porażka była nieunikniona w razie zdecydowanego stanowiska mocarstw zachodnich) nie zachwiała podstawami brunatnej dyktatury, by zmierzch nazizmu nie dodał otuchy ludowi francuskiemu. Kapitulacja monachijska, upokorzenie honoru narodowego, były dla niej złem mniejszym od zachwiania brunatnej dyktatury, od tych nowych impulsów wolnościowych, jakie zachwianie tej dyktatury mogło przynieść również i we Francji. Interes wielkiego, finansowego kapitału zatriumfował nad ogólnym interesem kraju, pchnął Daladiera na drogę kapitulacji.

Ale ta kapitulacja musiała mieć z kolei nowe następstwa wewnątrz-polityczne. Wiadomo już dzisiaj, że marsylska mowa Daladiera podyktowana była nie tyle względami na politykę wewnętrzną Francji, co motywami polityki zagranicznej: deklaracja francusko-niemieckiej nie-agresji, ten „świstek papieru“, którym pp. Daladier i Bonnet chcą uspokoić sumienie „przeciętnego Francuza“, może być uzyskany jedynie po zerwaniu wszystkich więzów na lewicy. Ale takie zerwanie z kolei zobowiązuje. Dyktuje inną, nową politykę wewnętrzną. Przyjęcie dyktatu faszystowskiego w polityce zagranicznej, z konieczności, prowadzi do faszyzacji polityki wewnętrznej kraju.

Wyrazem tej tendencji są dekrety Reynaud. Treść tych dekretów jest prosta i wyraźna. Unicestwienie reform socjalnych Zjednoczenia Ludowego. Zniesienie czterdziestogodzinnego tygodnia pracy. Nowe podatki na szerokie warstwy ludowe, ale... grzeczne komplementy dla wielko-kapitalistycznych dezerterów i oszustów podatkowych. Kurs na zaufanie wielkiego kapitału za cenę obniżenia poziomu życia najszerszych mas narodu.

Być może, właśnie ten nagi, brutalny cynizm pp. Schneiderów i de Wendel przyczyni się do pokrzyżowania ich planów. Bo, jeśli jeszcze kilka tygodni temu na lewicy francuskiej panowała daleko idąca niejasność poglądów i dążeń, jeśli jeszcze kilka tygodni temu szerokie warstwy drobnego mieszczaństwa francuskiego entuzjazmowały się Daladierem, to teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Kongres C. G. T., wbrew rachubom rozłamowym różnych daladierowskich skrybów gazetowych, przyniósł wzmocnienie jedności tej potężnej organizacji robotniczej, stanowiącej kościec Zjednoczenia Ludowego. Wszystkie ugrupowania dawnego Zjednoczenia Ludowego, Partia Socjalistyczna, Unia Republikańsko-Socjalistyczna Boncoura, Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela, wypowiedziały się zgodnie przeciw dekretom. We własnym stronnictwie Daladiera blisko dziesięciu posłów przeciwstawiło się votum zaufania dla premiera, a jeszcze znaczniejsza grupa wstrzymała się demonstracyjnie od głosowania. Co więcej, Daladier poniósł poważną porażkę na tym terenie, który wydawał się najbardziej korzystnym dla jego manewrów: kongres Konfederacji Klas Średnich, stworzonej przez partię radykalną jako przeciwwaga dla C.G.T., odrzucił dekrety, zarzucając im uprzywilejowanie wielkiego kapitału, a związki kombatanckie odmówiły przyjęcia proponowanych im obniżek rent kombatanckich. Prezes głównego z tych związków, p. H. Pichot, głośny niedawno w związku ze swą pół-faszystowską koncepcją „Rządu Ocalenia Publicznego“ określił publicznie dekrety p. Reynaud jako „nieskuteczne i niesprawiedliwe“. Dawne Zjednoczenie Ludowe odradza się — przeciw Daladierowi.

Parlament zbiera się niedługo — sesja zapowiada się gorąco i burzliwie. Nie wiadomo, gdzie p. Daladier zechce szukać — i gdzie je znajdzie — oparcia dla swej nowej, dyktowanej mu przez monachijskiego przyjaciela polityki wewnętrznej. Może u de la Rocque'a i Doriota! Ale w tym wypadku może zgubić po drodze własną partię i władzę. Polityka Lavala nie staje się ani bardziej ponętną, ani bardziej rokującą powodzenie dzięki faktowi, że jej nowy wykonawca nazywa się na odmianę Daladier i pochodzi z Vaucluse, zamiast z Owernii. Czuje to p. Daladier i dlatego styl jego przemówień staje się coraz bardziej mussolinowski, opryskliwy i prowokujący własnych przyjaciół. Dlatego nie zawahał się — rzecz niezwykła we Francji — zmobilizować na swe poparcie prezydenta Republiki Lebruna. We Francji tylko bardzo przegrani już gracze próbują się ratować w ten sposób. Ale jest to sposób mocno ryzykowny. P. Lebrun może w odpowiedzi niezwykle łatwo usłyszeć słowa, które usłyszał ongi stary marszałek Mac Mahon: „Se soumettre ou se demettre“. Podporządkować się, lub odejść.

Zwłaszcza, że i zagraniczny filar polityki daladierowskiej, rząd p. Chamberlaina zaczyna trzeszczeć wcale mocno. Wyniki wyborów uzupełniających dają wielu ludziom we Francji do myślenia...

Francja nie stanęła jeszcze ostatecznie na daladierowskim torze. Lud francuski walczy o swe prawa, o przyszłość swej ojczyzny. Walka trwa.

ROMAN LANG

Wrogowie ludu w Europie mają możnych pomocników, przez których działają na samo centrum ruchu ludowego; mają pomocników we Francji, w narodzie, który jest wielką armią idei i interesów ludowych Europy...

ADAM MICKIEWICZ

Walhalla chwały i bohaterstwa

Tragiczne dni męczeństwa, przeżywane dziś przez Żydów niemieckich po raz pierwszy od czasów średniowiecza, zwróciły znów uwagę całego świata cywilizowanego na olbrzymie niebezpieczeństwo, które zagraża ludzkości, jej etyce i kulturze, ze strony odrodzonego barbarzyństwa, protegowanego niestety przez mężów, dzierżących obecnie ster nawy państwowej w Anglii i we Francji!

Wypadki te, budzące uczucie grozy i odrazy w każdym wrażliwym i uczciwym człowieku bez różnicy narodowości, wyznania i poglądów politycznych, są nieuniknionym następstwem faszystowskiego „dynamizmu", depcącego wszystko, co w ciągu tysiącleci stało się wspólnym dobrem duchowym rodzaju ludzkiego. Ta sama ręka wzniosła przecież w sercu Europy stosy, na których w roku 1933 spłonęły dzieła największych poetów i myślicieli — a w kilka lat później księgi teologiczne i przedmioty kultu katolickiego, wyrzucone na bruk z okien arcybiskupstwa w Wiedniu! W komnatach wiedeńskiego pałacu arcybiskupiego odbyły się „terenowe" ćwiczenia praktyczne, których doświadczenia w szerokim zakresie spożytkowano już po kilku tygodniach w bohaterskiej walce z bezbronną ludnością żydowską, obciążoną zbiorową odpowiedzialnością za czyn szaleńca, dokonany poza granicami kraju. Płomienie, w które wiedeńscy „narodowcy" miotali obrazy święte i krzyże, przerzuciły się wkrótce na synagogi w całych Niemczech...

W Polsce wie się o tym wszystkim bardzo mało. Nasza oficjalna służba informacyjna jest szczególnie dyskretna, o ile idzie np. o stosunek hitleryzmu do Kościoła katolickiego — o coraz częstsze, jaskrawe, a głośne w całym świecie, przejawy tego stosunku. Tak m. in. nie wiedzieliśmy nic o tym, jak się katolicko - hitlerowskie „współżycie" ułożyło w Austrii — dopóki nie doszła nas niespodziewana zupełnie wiadomość o próbie „pacyfikacji" podjętej w stosunku do kard. Innitzera. „Zdawało się — pisze miesięcznik *Wiara i życie* — że na odcinku religijnym nastąpi tam (w Austrii) wyraźne odprężenie. Do takich wniosków mógł by dojść i dziś jeszcze ten, kto by poprzestawał na komunikatach PAT-a. Gdyż ta na pół oficjalna agencja polska — w jakimś opatrznym rozumieniu swego zadania — pomija i przemilcza z reguły wszystko, co dotyczy prześladowania religijnego w krajach, które się znalazły pod znakiem swastyki". I rzeczywiście czytelnik polski — w kraju katolickim! — wie o tych rzeczach tyle, co nic. Pozbawieni tedy informacyj PAT-a, dopiero np. z „Głosu Narodu" dowiedzieliśmy się o słynnych tezach p. Rosenberga, w których ten naczelny „ideolog" hitleryzmu stwierdza, że chrześcijaństwo jest trującym produktem ducha żydowskiego, religią podczłowieczeństwa, szkodliwą dla bohaterskiej rasy germańskiej („Chrystus na krzyżu „skamlał" — a hitlerowiec Planetta, morderca Dollfussa, zawołał u stóp szubienicy: Heil Hitler!"). Nasza prasa hitlerochwalcza wszystkich odcieni pragnie, rzecz jasna, ukryć te i tym podobne zjwiska przed czytelnikiem polskim. Pisma zaś takie, jak „Wiara i życie" lub „Der Deutsche in Polen" — nie są znane szerszemu ogółowi. A właśnie stamtąd zaczerpnęliśmy większość materiałów i dokumentów, które poniżej drukujemy.

EPOKA.

ZAMIAST MOTTA...

„Musimy wyrazić żal pod adresem PAT... Nasza oficjalna ajencja telegraficzna nie informuje należycie o prześladowaniu katolicyzmu w Trzeciej Rzeszy, a zwłaszcza w Austrii. Doskonale rozumiemy jej trudne stanowisko. Ale cała „przyjaźń" dla Niemiec powinna się skończyć tam, gdzie się zaczyna walka z Kościołem... Katolicy w Polsce mają prawo żądać od PAT, by o stanie katolicyzmu w Niemczech informowała przynajmniej tyle, ile informuje o popisach „krasomówczych" pp. Goebbelsa i Rosenberga.

Tymczasem PAT zachowuje się tak, jakby na terenie religijnym w Niemczech nic się nie działo. Jej wiadomości z tej dziedziny są skąpe, a w dodatku dotyczą spraw drugorzędnych. Skutkiem tego o najważniejszych wydarzeniach kościelno - politycznych w Trzeciej Rzeszy dowiadujemy się z prasy francuskiej lub angielskiej, to znaczy — akurat w 4 lub 5 dni po tym. PAT bojkotowała listy pasterskie Episkopatu Niemiec, nawet tak ważne, jak ten z końca sierpnia. Zapomniała poinformować nas o demonstracji hitlerowców w Wiedniu przeciw kard. Innitzerowi i o zdemolowaniu jego pałacu biskupiego. Wreszcie pominęła milczeniem tak ważny w tej sprawie dokument, jak komunikat organu Min. S. Z. w Berlinie, *Politisch - Diplomatische Korrespondenz*, który skłonił *Osservatore Romano* do ostrego protestu, a kto wie, czy nie on właśnie pobudził Ojca św. do rzucenia Hitlerowi ostrzeżenia".

Ks. J. Piwowarczyk w „Głosie Narodu".

PO NAPADZIE NA KARD. INNITZERA.

„Wkrótce po napadzie zabrał publicznie głos sam Bürckel. W przemówieniu swym, będącym wprost bezprzykładnym tworem demagogii i niepoczytalnej brutalności, nie wykrztusił oczywiście ani słówka potępienia dla sprawców napadu lub ubolewania pod adresem skrzywdzonego księcia Kościoła. Na to się nie zdobył. Za to w słowach, które trudno było by powtórzyć, zelżył i oplwał wszystko, co drogie jest katolickiemu sercu, oraz obrzucił wiedeńskiego metropolitę stekiem najnikczemniejszych zarzutów i insynuacyj. Nie trzeba chyba dodawać, że za przykładem komisarza poszła cała zglajchszaltowana prasa, która bez ustanku wymyśla i pieni się na „polityczny katolicyzm"; w ślad za nim poszło radio, które wciąż ryczy na zdradzieckiego kardynała.

Smutne to widowisko miało jeszcze raz przekonać opinię świata, że hitleryzm nie zważa na żadne względy i nie zatrzyma się przed niczym w swym demonicznym dziele niszczenia chrześcijaństwa. W świetle tych wypadków okazuje się także dziś wcałej pełni, jak zawodną była początkowa taktyka przyjęta po Anschlussie przez kard. Innitzera, który poszedł z Hitlerem na ustępstwa i uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby uchronić kraj przed religijnym prześladowaniem (?) a przynajmniej uzyskać złagodzenie antykatolickiego kursu. Wszystko daremnie! Trzeba jednak przyznać, że ta nieszczęsna taktyka miała jednak tę dobrą stronę, że przekonała cały myślący świat, iż do barbarzyńskiego prześladowania Kościoła, które dziś szaleje w Niemczech, nie dano ze strony katolickiej nie tylko żadnego

powodu, ale nawet cienia okazji. Cała odpowiedzialność za obecny stan rzeczy spada zatem bez reszty na hitleryzm i jego przywódców".

„Wiara i życie" (organ O. O. Jezuitów).

BOŻEK GASNĄCEGO ŚWIATA.

„Gdy w momencie nastania władzy narodowo-socjalistycznej w Austrii wysoki kler w sposób żywiołowy i nader zastanawiający okazał gotowość pogodzenia się z nowym stanem rzeczy, gdy ci, którzy na przestrzeni pięciolecia prześcigali się wzajemnie w szczuciu przeciw Niemcom i narodowemu socjalizmowi, pokornie schylili się przed swastyką, nie mogliśmy się uwolnić od swoistej, silnej nieufności. Obserwowaliśmy przecież dokładnie politykę Watykanu w ostatnich latach i dostatecznie przeniknęliśmy taktykę polityczną dygnitarzy kościelnych, by nie rozumieć, że polityczny katolicyzm pod psią pokorą wobec narodowego socjalizmu chce tylko ukryć prawdziwe swe zamiary".

„Kościół katolicki nie jest niczym innym, jak międzynarodową partią, która za pomocą swych wiekuistych i transcendentalnych problemów zmierza ku celom czysto ziemskim... Nie o utrzymanie jakiejś wiary w Boga idzie Watykanowi, lecz o przeszkodzenie coraz wyraźniejszemu rugowaniu negatywnych, międzynarodowych machinacyj światowego żydostwa, masonerii i bolszewizmowi, żeby stąd wyciągnąć dla siebie korzyści... Młode, narodowe siły Europy stoją dziś wobec zwartego frontu przeciwników: międzynarodowego żydostwa, międzynarodowej masonerii, międzynarodowego kościoła, międzynarodowego bolszewizmu. Oto bożki gasnącego świata!"

„Także ostatni bożek międzynarodowy runie, musi runąć pod ciosami żelaznej pięści polityki narodowo-socjalistycznej. Państwa nowej Europy nie mogą ścierpieć w swym łonie żadnych rozkładowych instytucyj. A przecież kościół rzymski chce dziś burzyć, nie budować. Klerykalizm, trzeba to dziś niedwuznacznie oświadczyć, jest naszym wrogiem. Jest on obcy narodowi, nie posiada ojczyzny!... W Watykanie nie zrozumiano jeszcze ognistych znaków nowej epoki. Dyplomacja papieska sądzi, że zdoła przeciwstawić się rozwojowi wyrastającemu z krwi i ziemi. Ale sam Pan Bóg nie pomoże papieżowi i jego ciemnym indywiduom we wszystkich państwach i narodach, wygrzebać się z kryzysu, w który wpakowali ich watykańscy dyplomaci. Wypowiadamy walkę ciemnym indywiduom klerykalizmu i ich polityce! Żeby mogła zakwitnąć prawdziwa religia i prawdziwa wiara w Boga! Żeby mogła wznieść się *nowa nacjonalistyczna i socjalistyczna (?) Europa! Rozbijcie bożki!"*

„Bewegung" (centralny organ hitlerowskiego związku młodzieży akademickiej).

WSKRZESZONY NERO.

„Obok waszych studiów nad dobrą i pogodną archeologią uprawia się w krajach niezbyt odległych bardzo smutną i złośliwą archeologię. Odgrzebano na nowo postać Juliana Odstępcy, sprawcy prześladować, które nie miały być i nie były najgwałtowniejszymi i najkrwawszymi, lecz za to najbardziej podstępnymi, ponieważ do energii łacińskiej dołączyła się chytrość grecka i nie mogło w niej braknąć — i nie zabraknie — apostoła takiego, jakim był Judasz. Takie prześladowanie, któremu się ciągle zaprzecza, istnieje w Niemczech i Austrii. Co dnia otrzymujemy na Naszym biurku dokumenty, wciąż nowe i bardzo pewne, dobrze skontrolowane i zawsze obfitujące w rzeczy smutne i najgorsze groźby. Dotyka to naszego serca nie tylko jako Ojca i Pasterza, ale także jako człowieka, bo widzimy w tym znieważoną godność ludzką. Nikczemność i kłamstwo idą w parze i powraca się istotnie do Juliana Odstępcy, a nawet Nerona — przez przypisywanie chrześcijanom odpowiedzialności za prześladowanie, którym podlegają — bowiem Neron był pierwszym, który na chrześcijan zwalał odpowiedzialność za pożar, będący pretekstem do rozpętania przeciw nim prześladowania".

Przemówienie Piusa XI do uczestników kongresu archeologii chrześcijańskiej.

PRZYGOTOWANIE DO ŻYCIA W KATAKUMBACH

„Brutalne prześladowanie wiary chrześcijańskiej, w szczególności zaś Kościoła katolickiego, w narodowo-socjalistycznych Niemczech, wywołało w Stanach Zjednoczonych powszechną odrazę. Umysłowość amerykańska nie może wprost pojąć, żeby państwo w tak bezlitosny sposób prześladowało kościół, korzeniami swymi tak głęboko tkwiący w życiu narodu, z którego dziejami jego własne dzieje tak nierozerwalnie są związane".

„Biskupi niemieccy są przekonani, że prześladowanie będzie doprowadzone aż do najgorszego kresu. Przygotowali oni już duchowieństwo i wiernych do prowadzenia takiego życia, jakie musieli prowadzić pierwsi chrześcijanie w katakumbach. W najgłębszym bólu dowiedzieliśmy się o ostatnich wypadkach w Niemczech. Nie żywimy nienawiści do narodu niemieckiego, ale z wszelką pewnością uczucie powszechnego potępienia prześladowań religijnych i uczucie solidarności z Kościołem, który w Niemczech tyle musi cierpieć. Wiem, że będę wyrazicielem uczuć całego narodu amerykańskiego, gdy publicznie i w sposób jak najbardziej stanowczy potępię tę kampanię nienawiści przeciw Kościołowi".

Przemówienie radiowe dra Ryana, biskupa Omahy w stanie Nebrasca Ameryki Północnej.

Po zamknięciu numeru

Czytelnicy znają już z prasy codziennej postanowienia nowego dekretu prasowego i dekretu o usprawnieniu postępowania sądowego. Na tym miejscu przytoczymy tylko dwa głosy, pochodzące z dwu różnych i odległych ośrodków myśli politycznej.

Dziennik Ludowy:

„Przepisy te mówią same za siebie. Dodajmy, że w najbliższych dniach czy godzinach spodziewane jest w kołach politycznych ogłoszenie dekretu o ochronie państwa, który według pogłosek zawierać ma zgoła drakońskie rygory o posmaku totalistycznym.

Ta seria dekretów, opracowanych przez rząd gen. Składkowskiego, a ściślej przez resort min. Grabowskiego, świadczy, iż nastroje w kołach reżimowych przechodzą passę totalistyczną, wbrew opinii olbrzymiej większości społeczeństwa".

KATOLICKA AGENCJA PRASOWA:

„Z naszego punktu widzenia prasa powinna korzystać z większej niż dotychczas swobody przy omawianiu zagadnień państwowych zarówno w dziedzinie polityki wewnętrznej jak i zagranicznej, gdyż w ten sposób kształci się myśl obywatelską i wzmacnia się w masach społeczeństwa poczucie odpowiedzialności za własny naród i państwo."

Z dnia na dzień

Plon zbrodniczego posiewu

Przedstawiciele tzw. suchego antysemityzmu podkreślają zawsze, że dążą do „rozwiązania" kwestii żydowskiej nie drogą gwałtów i pogromów, lecz za pomocą pozytywnej działalności gospodarczej i prawodawczej, zmierzającej do ograniczenia wzgl. wyrugowania „wpływów" żydowskich z życia ekonomicznego i kulturalnego.

Odpowiadano w prasie demokratycznej niejednokrotnie, że **każdy** antysemityzm, nawet najbardziej „suchy" z pozoru, stanowi jeden z najniebezpieczniejszych instrumentów faszystowskiej demagogii, groźną dywersję wobec wolnościowego ruchu mas, źródło moralnej deprawacji życia narodowego, źródło degradacji kultury — a przede wszystkim toruje drogę dla inwazji obcych, hitlerowskich wpływów politycznych na ziemie polskie. Kto deklaruje „suchy" antysemityzm — stwarza grunt dla „mokrego".

Tragiczne wypadki niemieckie niestety potwierdziły słuszność tego poglądu demokracji. Program, ideologia hitlerowskiego nawet antysemityzmu — jak każdego antysemityzmu i szowinizmu — są zawsze „suche" na papierze — z chwilą, gdy wysechł atrament czy farba drukarska. Ale wilgotnieją w wykonaniu. A wtedy rozpoczyna się przerażający sabat bestialstwa i okrucieństwa, który ostatnio przez cały tydzień szalał w samym centrum Europy, na ziemi zamieszkałej przez jeden z najbardziej cywilizowanych narodów. Wtedy płoną domy, świątynie i ...ludzie! Okropny jest los ludności żydowskiej w Niemczech, wydanej na pastwę kilkunastu tysięcy tchórzliwych landsknechtów, wychowanych w pogardzie dla wszelkich zasad etyki ludzkiej, janczarów, dla których znęcanie się nad bezbronnymi jest szczytem bohaterstwa.

Ale jakże wielką — po stokroć chyba większą — krzywdę wyrządzono narodowi niemieckiemu, który zelżono i shańbiono, którego całą, wielką tradycję kulturalną podeptano i zmieszano z błotem, zagrzebano w zgliszczach! Kazano temu narodowi, który wydał Lessinga i Goethego, Kanta i Mozarta, patrzeć bezsilnie na potworne widowisko, jakiego nie oglądała ziemia niemiecka od kilkuset lat. Co gorsza, każą mu codziennie sławić „ideologię", z której się takie barbarzyństwo zrodziło, jako program swego odrodzenia! Każą mu ludzi, którzy to zorganizowali, wielbić jako swych dobroczyńców i przewodników!

Ale taki przecież musiał był plon zbrodniczego posiewu. Nic innego nie mogło się zrodzić z długoletniej kampanii nienawiści i propagandy okrucieństwa. Słowo stało się ciałem. „Suchy" program zrealizowany został na „mokro". Inaczej być nie mogło. Przyszedł taki moment, w którym nie starczyła już sama propaganda eksterminacyjna, w którym nie dość już było „legalnych" ograniczeń — i musiał nastąpić „czyn". Zbrodnia zatriumfowała.

„Hańba XX wieku"

„Zwrot", organ katolickiego Stronnictwa Pracy, dwukrotnie zabiera głos w sprawie wypadków niemieckich. Raz, piórem R. Ś., czołowego swego publicysty, piętnuje je jako — taki jest tytuł notatki — „hańbę XX wieku". „Wierzyć się nie chce — stwierdza pismo — że w r. 1938 po Narodzeniu Jezusa Chrystusa w środku Europy dzieją się wypadki tak niezrozumiałe i potworne. Nie ma takiej moralności na świecie, która mogłaby usprawiedliwić tę wściekliznę usystematyzowaną".

Nie zgodzimy się jedynie z autorem, skoro odpowiedzialnością za czyny stronnictwa rządzącego Niemcami, chce obciążyć cały naród niemiecki. Kiedy pisze: „Niemcy... wykluczyły się z ludzkości. Są one jakimś skupieniem robactwa, obojętnego na wszystko poza swymi instynktami do żerowiska i mordu. Oni nie są niemoralni, lecz amoralni", — to te surowe ale sprawiedliwe słowa słuszne są w pełni, jeśli mowa o brunatnych koszulach, ale trudno zastosować je ogólnie do narodu niemieckiego, który, podług informacji prasy zagranicznej, odnosi się w ogromnej większości zupełnie negatywnie do postępków swych władców. Każdemu z nas wiadomo przecież doskonale z historii i z doświadczenia współczesnego, że narody w państwach autokratycznych nie mają wpływu na postępowanie klik rządzących. A kto nie ma wpływu na wypadki, nie może ponosić za nie odpowiedzialności.

W zupełności natomiast zgadzamy się z dalszą notatką pisma, stwierdzającą: „to nie oko za oko, ale życie tysięcy za jedno życie niemieckie, i to życie tysięcy, którzy ze zbrodnią paryską nic nie mieli do czynienia. Odwet, którego nie można nazwać średniowiecznym, aby nie obrazić średniowiecza. Odwet, który odsłania takie strony umysłowości i psychologii niemieckiej, przed którymi nie można się nie wzdrygnąć."

I słusznie autor stwierdza w dalszym ciągu: „Ciężaru pogardy i wstrętu całego świata nawet najmocniejszy naród nie może dźwigać długo. Nie można bezkarnie deptać dorobku cywilizacyjnego ludzkości. I nie da się historii cofnąć wstecz do czasów pierwotnych".

Ofiara barbarzyństwa

W Wiedniu zmarł 60-letni ksiądz Krawarik. Zmarły padł ofiarą znanego napadu bojówek hitlerowskich na pałac kard. Innitzera. Bogu ducha winnego starca wyrzucono wtedy z okna I piętra, przyczem nieszczęsna ofiara faszystowskiego bestialstwa złamała obie nogi i doznała wstrząsu mózgu. Z tych ciężkich uszkodzeń ciała ks. Krawarik nie powrócił już do zdrowia. Jego śmierć kładzie haniebne piętno na reklamowaną i w Polsce przez naszych pseudo-katolickich hitlerochwalców „ideologię" faszystowskiego nacjonalizmu.

Wielkorządca Austrii, Bürckel, zakazał umieszczenia w prasie jakiejkolwiek wzmianki o śmierci ks. Krawarika.

A u nas?

Jak donosi „Der Deutsche in Polen", w całej Holandii odbyły się w dzień Chrystusa Króla wielkie manifestacje protestacyjne przeciw prześladowaniu katolicyzmu w Niemczech. Uchwalono m. i. następującą rezolucję: „Walka między Bogiem a szatanem stanęła za naszych dni u swego szczytu. Ale diabeł pozostanie bezsilny, jak długo katolicy pozostaną katolikami, a Kościół Kościołem... Protest nasz niechaj będzie protestem Boga, walka nasza walką Boga, nasze zwycięstwo zwycięstwem Boga".

Leży oto przed nami listopadowy zeszyt „Rycerza Niepokalanej" — wydawanego przez to samo przedsiębiorstwo, którego imprezą jest osławiony, hitlerofilski „Mały Dziennik". Na 32 stronnicach daremnie szukamy chociażby jednej, drobnej wzmianki o położeniu katolicyzmu w Trzeciej Rzeszy; choćby najkrótszej cytaty z przemówień papieża i dostojników kościelnych w różnych krajach, piętnujących barbarzyńskie prześladowanie Kościoła przez hitleryzm! Natomiast znajdujemy tam (jak zawsze) ataki na ruch robotniczy i na

„Wici", na wszystko, co w Polsce, zwłaszcza w młodym pokoleniu, garnie się do oświaty i wolności. A oto sympatyczna próbka umoralniającej pracy „Rycerza":

MŁODA CZYTELNICZKO!

„Czyś nie spotkała tak zwanych panien „postępowych"? Jest ich dziś pełno. Zachowują się one dość dziwacznie. Jakże, na przykład, dziwiłaś się, gdy widziałaś, że twoja koleżanka, tak do niedawna skromna panienka, teraz przez całe lato **wylegiwała** się na plaży z młodzieńcem i zupełnie się tego nie wstydziła. Gdy pytałaś, co się z nią stało, odpowiadano: O, to jest panna „postępowa"!... A oto znów poszłaś na zabawę i z przykrością spostrzegłaś, że druga twoja przyjaciółka, która jest naprawdę piękną panienką, zupełnie niepotrzebnie ubrała się w taką sukienkę, że się przez to mocno **obnażyła.** I teraz pytasz: co się z nią stało? Jak się ona nie wstydzi? A tu wszyscy tłumaczą: A, bo ona jest „postępowa".

Do Freuda, czcigodni ojcowie, do Freuda! „Rycerze" wiary katolickiej, którzy po sześciu bez mała latach hitlerowskiej walki z tą wiarą i jej obrońcami, nie mają nic pilniejszego do roboty, jak podglądanie dziewcząt. W ten sposób napewno nie opancerzą katolicyzmu polskiego przed hitlerowską ofensywą, której zresztą sami na łamach swego „Małego Dziennika" świadomie czy bezwiednie torują drogę.

Kto mówi o rozbiorze Rumunii?

Pisaliśmy już o agitacji hilterowców ukraińskich w Besarabii i na Bukowinie i o demonstracjach faszystów rumuńskich na rzecz Codreanu. Rychło nadeszły wiadomości o jawnym już wystąpieniu jednego z führerów mniejszości niemieckiej w Siedmiogrodzie, który za przykładem Henleina i Wiesnera oświadczył na konferencji partyjnej Niemców rumuńskich: „Jeżeli Rumunia przyzna swej mniejszości niemieckiej prawa, których ona żąda, nie będą nam potrzebne żadne fortyfikacje dla obrony naszych granic".

Ta otwarta groźba Trzeciej Rzeszy pod adresem Bukaresztu nie jest zresztą jedyną. Berlin ingeruje już jawnie w sprawy między samymi Rumunami. Demonstracje faszystów rumuńskich, żądających uwolnienia Codreanu, nie były oczywiście czynem samorzutnym. Bo oto czasopismo niemieckie, **Wille und Macht,** organ Baldura von Schirach, führera młodzieży hitlerowskiej w Rzeszy, zapowiada, że Niemcy zażądają od rządu rumuńskiego, żeby wypuścił na wolność Korneliusza Codreanu, skazanego przez sąd rumuński na 10 lat więzienia za działalność przeciw państwu! Że zażądają przywrócenia legalności jego organizacji — Żelaznej Gwardii, rozwiązanej przez rząd rumuński za robotę na rzecz obcego mocarstwa! Organ hitlerowski pisze dosłownie:

„Dla nas los Żelaznej Gwardii nie może pozostać obojętny; wszak ruch ten proklamował włączenie Rumunii w system osi jako wytyczną swej polityki zagranicznej, a Codreanu i jego podkomendni za to przecież poszli do więzienia, że mieli orientację proniemiecką. Nie możemy pozostać obojętni, gdy jakiś reżim więzi naszych przyjaciół z tym właśnie uzasadnieniem, że są naszymi przyjaciółmi. **Wiemy, że Żelazna Gwardia nie umarła".**

Słowa te wydrukowane były w organie pana Schiracha dnia **1 listopada.** A wkrótce po tym, w numerze z **20 listopada Merkuriusz Polski Ordynaryjny** na tytułowej karcie przyniósł fascynującą podobiznę Korneliusza Codreanu z napisem: „dawniej wódz młodych, obecnie katorżnik". I pod tym tytułem znajdujemy wewnątrz numeru płomienną apoteozę rumuńskiego agenta Trzeciej Rzeszy i twierdzenie, że proces jego był komedią. „Za skrzywdzonym Codreanu — czytamy w zakończeniu — nie ujmie się żadna p. Krahelska, żadna p. Wasilewska, żadna p. Sempołowska, bo one mają swoich protegowanych... Czytałem niedawno broszurkę w języku francuskim, wydrukowaną **poza granicami** Rumunii. Jej tytuł brzmi: „Sprawiedliwość dla Codreanu". Jest to jeden akord tęsknoty i rozpaczy. Dobrze, lecz **skąd ma nadejść sprawiedliwość?"**

Czy na prawdę nie wiadomo, skąd? Czy pan Baldur von Schirach nie ma dziś w Mitteleuropie więcej, daleko więcej do powiedzenia, niż panie Krahelska, Wasilewska i Sempołowska?

Od Wydawnictwa

Abonentów,
którzy
zalegają
z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący
prosimy
o uregulowanie
należności

Koniec wieńczy dzieło

Pewne koła, zbliżone do Frontu Morges, niedawno jeszcze próbowały poróżnić ruch ludowy i ruch socjalistyczny za pomocą argumentów, zaczerpniętych z arsenału endeckiego. Obok nieodzownego w tym wypadku „Żyda", były tu przede wszystkim insynuacje o jakiejś „kompromisowości" robotników w stosunku do sanacji, o jakichś „socjalistyczno-sanacyjnych" kontaktach. Zaznaczamy wyraźnie: **pewne koła,** zbliżone do Frontu Morges. Inne bowiem grupy, również należące do Stronnictwa Pracy — że wymienimy tu choćby grupę katowickiej „Polonii" — zachowywały się zupełnie inaczej, utrzymując swą polemikę z P. P. S. w ramach lojalnej dyskusji. Głównymi specjalistami od antysocjalistycznych manewrów (przypomnijmy choćby tylko znane występy p. Brożka, pociągniętego obecnie za swe artykuły do odpowiedzialności przez Stronnictwo Ludowe) były koła krakowskiego Stronnictwa Pracy, bliskie „Głosu Narodu" i niektóre grupy, wywodzące się z dawnej chadecji b. zaboru rosyjskiego. Aż oto nagle prawdziwe już, bynajmniej nie rzekome, zupełnie już oczywiste kontakty z sanacją wylazły zgoła gdzieindziej — u samych groźnych inkwizytorów.

Zaczęło się od wyborów. Redaktor „Głosu Narodu", p. K. Turowski kandydował do Sejmu „Wyczyn" niezły, jak na człowieka, drukującego artykuły p. Brożka, zarzucające sympatie sanacyjne Adamowi Ciołkoszowi. Okazało się, że przecież kandydował nie Ciołkosz ale Turowski. Prawda wypłynęła na wierzch, jak oliwa.

W ostatnich dniach przed wyborami widzieliśmy na ulicach Warszawy odezwę. Było tam mniej więcej takie zdanie: „solidaryzując się z ideologią Obozu Zjednoczenia Narodowego". Podpisana była między innymi centrala Chrześcijańskich Związków Zawodowych (p. Spasiński) i centrala Z. Z. P. (p. Mańkowski). Obydwaj uchodzili za filary Frontu Morges. Ci, jak widać zgłosili już akces do ideologii...

Wreszcie teraz dowiadujemy się, że do wyborów samorządowych w Krakowie idzie „blok sapieżyński", składający się z Ozonu i przybudówek morżowych. P. Kuśnierz, prezes Stronnictwa Pracy województwa krakowskiego, ogłosił o-

świadczenie, sprowadzające się w praktyce do poparcia tego bloku.

A wszystko to dzieje się w tej samej chwili, kiedy pp. Tempka, Sopicki i Korfanty, śląscy działacze tego samego obozu, stają przed sądem za agitację bojkotową. Doprawdy: jedno stronnictwo a dwie, zasadniczo różne polityki!

Organy Stronnictwa Pracy milczą wobec tych zadziwiających ewolucji. Jednocześnie jak doniósł **Dziennik Ludowy**, odezwę „bloku sapieżyńskiego" podpisało kilku inteligentów ze Stronnictwa Ludowego, jak np. redaktor „Piasta" Bielenin, p. Kotowa, dr Grodzicki (dwoje ostatni kandydują z listy ozonowo-morżowej). W związku z tym wystąpieniem „nowej — jak się wyraża Dziennik Ludowy — serii kadzichłopów" Zarząd Okręgowy Stronnictwa Ludowego zażądał zwołania Rady Naczelnej. Okazuje się, że „blokowi sapieżyńskiemu" udało się „zmorżować" nieliczne tylko, działające w... mieście jednostki ze Str. Ludowego, pozbawione żywego, bezpośredniego kontaktu z ruchem chłopskim.

O ile idzie jednak o krakowski odłam Stronnictwa Pracy, możemy stwierdzić, narazie, tylko jedno: oto idą do sanacji właśnie ci, którzy poprzednio, pod pokrywką endeckich niby antysanacyjnych hasełek, starali się skłócić ruch ludowy z ruchem socjalistycznym. „Epoka" pisała wtedy: kto stara się wbić endeckimi chwytami klin pomiędzy te dwie podstawowe siły demokracji polskiej, ten conajmniej obiektywnie, działa na rzecz sanacji. Okazuje się dziś, że nie tylko obiektywnie...

Krowia przysługa

Skarbnica mądrości narodów zawiera budującą powiastkę o niedźwiedziej przysłudze. Morał z niej płynie taki, że niekiedy głupi gorliwiec więcej może zaszkodzić temu, komu chciał się przysłużyć, niż najgorszy wróg.

Tak właśnie zdarzyło się — jak doniosła prasa codzienna — w miejscowości Łebcze, pow. morskiego, gdzie „przewodniczący komisji wyborczej, sołtys Aremka, dopuścił się naruszenia tajemnicy wyborczej przez to, że otworzył kopertę, wręczoną mu przez wyborcę do włożenia do urny. Koperta zawierała kartkę z namalowaną na niej krową"- Głupi sołtysie, gdybyś koperty nie otwierał...

Nauka Nocy Listopadowej

Historyk badający najbardziej nawet odległe okresy dziejów nie jest zdolny uwolnić się od aktualnej problematyki, od pojęć, haseł i programów, jakie narzuca mu dzień dzisiejszy. Historia bowiem według paradoksalnego określenia jest badaniem znanego (teraźniejszości) przy pomocy nieznanego (przeszłość). To też dziś pisana historia np. powstania listopadowego musiałaby przede wszystkim podjąć sprawę, która zaciążyła na całym jego biegu, odzywała się we wszystkich ówczesnych wypowiedziach — sprawę „jedności" narodu; musiałaby oświetlić rzeczywisty, społeczny sens tej jedności jak i jej polityczne, agitacyjne szalbierstwo.

Przez długie lata badacze stwierdzali, że cały okres Królestwa Kongr. pełen był przygotowań powstańczych, że cały naród znajdował się w stanie wrzenia, czekając tylko na hasło. Wolnomularstwo narodowe, Łukasiński, Towarzystwo Patriotyczne, sprzysiężenie podchorążych, odgłosy rewolucji lipcowej oto stadia, którymi zbliżała się nieuchronnie Noc Listopadowa. Naprzekór jednak tej utrwalonej legendzie nowsze badania coraz silniej podkreślają, że olbrzymia większość społeczeństwa była zaskoczona przez wybuch i to zaskoczona nie tylko w tym sensie, że nie wtajemniczono jej w przygotowania — zaskoczenie polegało przede wszystkim na tym, że nie była przygotowana do zapobieżenia „pożałowania godnym" wypadkom. Powstanie, jak miały dowieść pierwsze dni, całkowicie nie leżało w programie uprzywilejowanej większości ówczesnego społeczeństwa, krzyżowało plany wszystkim od arystokratycznej ugody do nieprzejednanej opozycji kaliskiej.

Dzięki pracom Wacława Tokarza kontynuowanym przez jego uczniów[1]) noc listopadowa straciła wiele cech legendy, a stała się jednym z tragicznych momentów społecznego dramatu.

Przeciwko straceńczej determinacji garstki stanęła martwota narodu, przeciwko kilku zapaleńcom stanął cały legion zasłużonych przerażony wizją możliwych następstw tej niepoczytalności. Naprzeciw porywającemu za broń „pospólstwu" stanął „właściwy" naród, naród szlachecki, naród posiadaczy, rządców i dostojników. Słowa Rady Administracyjnej nazywającej nazajutrz dokonany zamach „smutnymi wypadkami" były opinią wszystkich niemal, którzy wówczas mieli coś do powiedzenia.

W gaszeniu pożaru nieopatrznie wznieconego wzięli udział nie tylko ludzie sprawujący rządy w imieniu króla polskiego Mikołaja I, ale i najjaśniejsze świeczniki patriotyzmu, ludzie, na których zwrócone były oczy całej Polski. Oni przede wszystkim chcieli uznać zaszłe wydarzenia za niebyłe, zatrzeć je zanim rozpierzchnie się mrok listopadowej nocy. Tu znajduje wytłumaczenie fakt, że poza chaotycznymi walkami jednej nocy nie ruszono nawet palcem dla unieszkodliwienia małych sił rosyjskich, tu znajdują wytłumaczenie całe dzieje 1830 — 31 r. Wojnę narzuciła Rosja, która nie zgodziła się puścić w niepamięć obrazę majestatu, nie orientowała się zresztą w sytuacji tak dalece, aby

Zawsze w dziejach ofenzywy sił walczących o postęp towarzyszył renesans żywotnych wątków przeszłości — jak zawsze orężem reakcji było zakłamywanie i grzebanie wskazań historii. Reakcja polska ma szczególne powody unikania tej konfrontacji. Ileż jej posunięć możliwych było tylko dzięki temu, że sfałszowała, ukryła przed społeczeństwem własną przeszłość? I czyż dzisiaj do obcych odwołując się wzorów nie stwierdza tym mimowoli, że bywała ich niewolnicą?

[1]) W r. 1937 już po śmierci prof. Tokarza ukazał się nakładem Kasy im. Mianowskiego zbiorowy tom prac jego uczniów pt. „Studia z dziejów Warszawy 1830 — 1831" poświęcony głównie nastrojom społeczeństwa w pierwszym okresie powstania. Tom zawiera również ciekawą pracę Tokarza omawiającą raporty konsula austriackiego Oechsnera.

wiedzieć za jak małą cenę wodzowie powstania zgodziliby się złożyć broń. Zaszło paradoksalne napozór zjawisko: naród występujący do walki nie chciał dla tej walki uczynić nic, narzuconą konieczność wojny przyjmował z największą niechęcią.

Aby wybrnąć ze sprzeczności, rozwikłać tę osobliwą mieszaninę „rewolucji“ i „kontrrewolucji“, powstania i ugody, jedności narodu i jej zaprzeczenia należałoby uporządkować wreszcie zagadnienie na właściwej płaszczyźnie, płaszczyźnie walki społecznej — należałoby wyraźnie stwierdzić, że inne elementy społeczne robiły rewolucję a inne kontrrewolucję, że opowiadanie się za powstaniem i walką z Rosją lub za ugodą i kapitulacją zależało nie tylko od osobistych zapatrywań, od nasilenia „patriotyzmu“ w danym osobniku, ale od czynników ogólniejszej natury, od klasowej przynależności. Ten pozorny truizm nie jest niestety truizmem dla większości historyków. Odrębność prac Tokarza i jego uczniów polega głównie na tym,że dostarczają one wiele materiału potwierdzającego iż stosunek do powstania zależał od społecznej pozycji, od stopnia związania z ówczesnym systemem. Ale i tu przecież nie wyciągnięto wszystkich wniosków. Nie przeprowadzono analizy struktury społeczeństwa, nie wykryto klasowych motywów tego zróżnicowania w ustosunkowaniu się do powstania. Należałoby, konsekwentnie, wrócić do tego punktu badań dziejów powstania, w którym zostawił je tak wysoko ceniony przez Tokarza Mochnacki, a którego analiza wewnętrznego społecznego układu sił jest dotąd jedyna.

POLITYCZNY PARAWAN OPORTUNIZMU I REAKCJI

Są punkty, w których doświadczenia powstania listopadowego będą aktualne tak długo, jak długo będą trwały walki społeczne. Młodzież wojskowa pchana do wystąpień beznadziejnością własnego położenia (dziesięć i więcej lat w konstantynowskiej szkole podchorążych nie musiało należeć do wymarzonej kariery) podejmowała tak świeżą jeszcze tradycję walk niepodległościowych; szukała rozwiązania swego położenia w rozwiązaniu sprawy ogólniejszej. Całą starszyznę wojskową Królestwa tworzyli ludzie, którzy walczyli o „całość i niepodległość“ pod Kościuszką, ludzie opromienieni glorią walk napoleońskich. Mogło się zdawać, że ludzie ci to drzemiące wulkany, to przykryte warstwą popioły zarzewia buntu przeciwko istniejącemu porządkowi. Mniemanie to zdawał się popierać fakt, że niektórzy z nich nie pogodzili się z kapralskim systemem Konstantego i opuścili szeregi wojska. Podobnie zresztą rozumował i Konstanty, że całkowicie pewien będzie swojej armii dopiero kiedy wymrze pokolenie napoleończyków a miejsca ich zajmą jego wychowankowie.

Tymczasem wypadki nocy listopadowej wywróciły wszystkie te rachuby. Nie mająca nic do stracenia a do zyskania szlify generalskie garstka podchorążych wystąpiła do walki w przekonaniu, że ich inicjatywa podjęta zostanie przez właściwe ręce, w które milcząco już dawno włożono buławę. Już jednak pierwsze godziny dowiodły że rachowano fałszywie. Ani jeden z wyższych oficerów nie należał do sprzysiężenia,ani jeden nie przystąpił do niego w pierwszych najcięższych chwilach walki. Część zachowała się biernie, ukryła się, część zaś czynnie, z patriotycznego obowiązku zwalczała powstanie. Pierwsze ofiary rewolucji, pierwsza krew przelana była krwią tych właśnie, którym uporczywie przeznaczano rolę wodzów, stawiano ich na czele powstającego narodu. Nie dostrzegli spiskowcy, że w ciągu piętnastu lat istnienia Królestwa dokonało się wiele zmian wewnątrz społeczeństwa, zmian, które nie mogły nie wywrzeć wpływu na poglądy ich wodzów.

Zaszedł wypadek jakich wiele zna historia. Ci wszyscy, którzy walczyli o wyzwolenie Polski za Kościuszki i Napoleona, strawili w tamtych bojach połowę życia, im zawdzięczali szlify i krzyże, dojrzewali w atmosferze społecznego radykalizmu legionów — okazali się przystosowani do nowych warunków, a przejawiający się niekiedy protest był tylko gestem obrony osobistej godności. Napoleończycy, starsi zwłaszcza — pisze Tokarz — pogodzili się naogół z nowym stanem rzeczy i spełniali swe obowiązki z całą służbistością, pragnąc doczekać się emerytury[2]). Brakło podstaw do buntu, oni przecież zajmowali wszystkie wyższe stanowiska, wszystkie stopnie generalskie i pułkownikowskie. Jeżeli nawet w Konstantym nie odpowiadało im wiele rzeczy, to przecież nie na tyle, aby robić zbrojne powstanie. Trudno zresztą oczekiwać rewolucyjności od ludzi, którym brak kilku miesięcy do emerytury.

To też pierwsze walki uliczne napotkały jednego tylko zdecydowanego przeciwnika — polską starszyznę wojskową (wojsko rosyjskie bynajmniej nie było takie zdecydowane). Oni dokładali wszystkich starań, aby stłumić wybuchający pożar, okazali w tym kierunku wielkie zaiste bohaterstwo. Pułkownika Bogusławskiego żołnierze jego pułku siłą odciągali, aby uniemożliwić mu agitację, gen. Potocki, jeden z kandydatów na wodza, w wielu punktach miasta wzywał żołnierzy do porządku, aż wreszcie poległ od żołnierskiej kuli. Podobnie zginęli inni. Jeśli mimo wszystko powstanie nie zostało stłumione w ciągu pierwszych godzin, to dzięki temu, że żołnierze nie mieli zbyt wielkiego zaufania do swoich wyższych dowódców.

A jednak wszyscy ci ludzie znaleźli się wkrótce na czele armii powstańczej. Jedni przystąpili wcześniej pod groźbą pistoletów swoich podkomendnych, inni siłą faktu, kiedy okazało się, że Konstanty nie chce uczynić nic dla stłumienia „ruchawki“. Musiało to zaciążyć zasadniczo na całych losach powstania.

Nie inaczej miała się rzecz z cywilnymi reprezentantami narodu. W mniemaniu spiskowców tak samo jak na czele armii stanąć mieli weterani walk niepodległościowych, tak samo ster rządów ochoczo uchwyca wysłużeni obrońcy praw narodowych, ludzie w których widziano zawsze uosobienie patriotyzmu. „Patriotyzm“ nie jeden raz w dziejach okazywał się terminem szczególnie wygodnym. Kiedy w społeczeństwie rozpanoszy się „patriotyczny“ frazes a nie ma siły, któraby kontrolowała jego wewnętrzną treść, wówczas staje się on parawanem politycznego oportunizmu, najdogodniejszą osłoną klasowego interesu reakcji. Wówczas w krytycznych momentach zachodzi to, co zaszło w pierwszych dniach powstania. Wiwatowano na cześć najzajadlejszych wrogów powstania, stawiano na czele ludzi, którzy podniesienie broni uważali za zbrodnię i szaleństwo — tylko dlatego, że mieli opinię „patriotów“. I rzeczywiście, cóż można było zarzucić patriotyzmowi Czartoryskiego, Niemcewicza, Radziwiłła czy Chłopickiego? Że nie chcieli wojny z Rosją? Ależ to właśnie było fundamentem ich patriotyzmu! Wiele jeszcze lat upłynęło, zanim skrystalizowała się prawda, iż tyle jest „patriotyzmów“, ile jest w społeczeństwie klas, klik i koterii.

[2]) Tokarz: Armia Królestwa Polskiego s. 286.

TERORYZM HISTORYCZNYCH NAZWISK

Inicjatorzy zamachu oraz te elementy społeczne, które bez zastrzeżeń stanęły pod sztandarem walki, była to siła za mało dojrzała politycznie, aby mogła pokusić się o kierowanie wypadkami. Było to wojsko wraz z większością niższych oficerów, garstka inteligencji radykalnej oraz lud stolicy. Oni to sami zdobytą własnym wysiłkiem władzę ofiarowali pomazańcom narodu, aby ci kontynuowali rozpoczęte dzieło. Owi wybrańcy zaś ze swej strony bardzo wcześnie zorientowali się w sytuacji. Zorientowali się w nastrojach wśród gór społeczeństwa i starszyzny wojskowej, dostrzegli wiszącą nad ich głowami groźbę nacisku dołów. Postanowiono odwlec niebezpieczeństwo, wykorzystać polityczną naiwność twórców powstania — nie ujawniać wojsku i masom rzeczywistego oblicza wodzów. Ufajcie im, wołano, to patrioci! Wygrywano zręcznie argument o „jedności" narodu, uczyniono z niego broń przeciwko wszelkiej budzącej się opozycji, przeciw wszelkiemu krytycyzmowi. Rząd reakcyjny, pragnąc odwrócić uwagę opinii od programu jaki realizował i unicestwić swoich wrogów, rozpoczął za pomocą prasy i odezw kampanię „jednościową i zaufaniową"[3]). Klika rządząca, która tak wiele mówiła o potrzebie „jedności narodu", kryła za tym chęć przeforsowania wbrew masom własnych, wrogich im postulatów. Agitacja zrobiła swoje. Otumaniła wielu, wytrąciła oręż z ręki zdecydowanym zwolennikom powstania. Oto jak po niewczasie wyznaje jeden ze sprzysiężonych: „Tyle nasłuchaliśmy się poprzednio, że „Polska upadła niezgodą", że sama szczera chęć dźwignięcia jej z niedoli pchnęła nas w drugą ostateczność".[4])

Cały okres dyktatury Chłopickiego to tragiczna gra w chowanego, w której „patrioci" i świeczniki narodu ukryć usiłowali przed społeczeństwem swoje poczynania. Wojsko i lud okrzyknęły jednogłośnie dyktatorem Chłopickiego, w którym widziano żyjącą tradycję napoleońska. Wyciągnięto go z ukrycia i zmuszono niemal aby ujął buławę. Chłopicki ze szczerością, która tak często korzystnie odróżnia generałów od polityków, oświadczył, że bić się nie będzie, że władzę ujmuje, aby utrzymać porządek, przywrócić karność w armii — że ...jednym słowem będzie działał z ramienia króla polskiego Mikołaja. To wyznanie wiary powtarzał Chłopicki niezmiennie przy każdej okazji. Program ten stojącej przy sterze arystokratyczno-burżuazyjnej klice odpowiadał — był w istocie jej programem. Ona myślała przede wszystkim o utrzymaniu porządku, o zabezpieczeniu własności, myślała o kapitulacji w jakimś dogodnym momencie. Ale aby Chłopicki mógł utrzymać się na swym stanowisku, należało zataić jego zamierzenia, inaczej te same siły, które go wyniosły, mogły go strącić i podeptać. Zaczęto ukrywać. Sztab ukrywał przed armią, członkowie rządu ukrywali przed sobą, rząd ukrywał przed sejmem itd. Ukrywanie oblicza dyktatury stało się jedynym zatrudnieniem rządu, a psychoza sięgnęła tak daleko, że ukrywali i ci, którzy nie mieli w tym interesie, jak np. Lelewel. Chłopicki strzegł porządku i czekał na aprobatę i rozkazy Mikołaja, ale wojsko, ale lud stolicy tumaniony frazesami o „jedności" i „zaufaniu" widział w nim nadal następcę boga wojny. Arystokratyczna mafia zdołała zataić stanowisko Chłopickiego przed delegacją sejmową wyznaczoną do czuwania nad dyktatura(!), a w czasie obrad sejmowych nie dopuściła do sprawozdania z działalności rządu i dyktatury w obawie, że misternie strzeżona tajemnica może pęknąć.

Zdziwienie musi wywołać, że w tych warunkach znalazła się nieliczna ale zdecydowana opozycja, która nie dała się oszukać brzmieniem historycznych nazwisk, która od pierwszej chwili wyczuła zamierzenia dyktatury. Opozycyjna lewica zawiązała Towarzystwo Patriotyczne, klub, mający być narzędziem nacisku na rząd, mający tropić i wykorzeniać zdradę. Ten niebezpieczny ferment, tę skazę na „jedności" narodu należało jaknajszybciej zetrzeć. Arystokracja wespół z dyktaturą rozpędziły klub, napiętnowały jego zamysły jako świętokradzkie i antypaństwowe.

Jeżeli mimo to nie udało się doprowadzić do kapitulacji, to winy nie ponosi arystokracja ani dyktatura, boć zrobiły wszystko, co było w ich mocy. Tak jak w noc listopadową Konstanty mimo próśb „przedstawicieli społeczeństwa" nie chciał stłumić wybuchłej rewolty, tak teraz Mikołaj nie ocenił zasług rządu i dyktatury, nie umiał odcyfrować ich roli. W grę wchodziła zresztą sprawa prestiżu.

Ale i po upadku dyktatury duch kapitulacji ani na chwilę nie opuścił wodzów. „Jedynie podchorążym i młodym oficerom zawdzięczać należy to, że w ogóle doszło w końcu do rozprawy orężnej z Rosją... Oni następnie po bitwie grochowskiej zapobiegli kapitulacji, na którą bardzo poważnie się zanosiło".[5]) Skrzynecki kontynuował politykę Chłopickiego, zwodził, paktował, wyczekiwał stosownego momentu do „rokowań" i robił to z cichą aprobatą głowy rządu Czartoryskiego, popierany przez niego do ostatniej niemal chwili, do ostatniego momentu katastrofy.

Wiele sabotażu i jawnej zdrady opłacić trzeba było krwią i klęskami, zanim rozwiał się mit fałszywej „jedności", zanim wyzwolono się z pod teroryzmu, jak go nazywa Mochnacki, nazwisk historycznych. Czasy walki mają tę niedogodną stronę, że wszelki frazes działa w nich znacznie krócej, ułatwione jest przymierzenie go do rzeczywistości. A przecież upłynęło wiele miesięcy zanim w oczach wszystkich stojących po stronie walki owe historyczne nazwiska, osobiste zasługi, te przepełnione patriotyzmem amfory odarte zostały z dostojnej zewnętrznej patyny i odrzucone jak zużyte, skalane zdradą szmaty. Stało się to niestety dopiero w obliczu ostatecznej katastrofy.

REHABILITACJA NOCY SIERPNIOWEJ

Rola czynnika ludowego, tej siły, która nadawała piętno społecznej rewolucji, była w powstaniu nierównie słabsza niż w r. 1794. Wpłynęła na to zarówno ewolucja wewnętrznych stosunków Królestwa jak i atmosfera całej Europy. Porównanie Wielkiej Rewolucji, której hasła podjęto w r. 1794, do rewolucji lipcowej będącej z kolei podnietą dla autorów nocy listopadowej, najjaskrawiej uchwyci różnice społecznego potencjału obu tych okresów. Inicjatorzy powstania występowali bez żadnego programu społecznego. Jeśli konieczność ochrzczenia rozpoczętego ruchu krwią wybitnych dostojników nadała powstaniu na wstępie piętno pewnego radykalizmu, to stało się to mimo zamierzeń inicjatorów. Czynnik ludowy nie był brany pod uwagę przez sprzysiężonych w ich powstańczych rachubach. Powstanie miało być wojskowe, poparte przez sejm i senat, a więc przez „właściwe" społeczeństwo.

---

[3]) Studia z dziejów Warszawy, s. 203.
[4]) tamże.

[5]) Tokarz: Armia Kr. P. l. c.

Dopiero kiedy te rachuby zawiodły, kiedy na hasło „do broni!" nie ruszyła się znaczna część wojska powstrzymana przez swych dowódców, kiedy w głębokiej trwodze ukryli się za żaluzją i zamki sklepów „obywatele" stolicy, kiedy garstka insurgentów zawisła w próżni — okazało się koniecznością wykorzystać siłę tych, którzy jedyni poruszyli się na odgłos strzałów: rzemieślniczej i robotniczej ludności Warszawy. Uzbrojenie jej dodało siły konającemu już prawie powstaniu, dodało mu przez to społecznego wyrazu. „Walka ludu warszawskiego 29 listopada — pisze jeden z uczniów Tokarza — poza tendencjami patriotycznymi miała w swym podłożu charakter poniekąd socjalny. To też pierwsze zarządzenia Rady Administracyjnej... i pierwsze poczynania żywiołów umiarkowanych zmierzały ku opanowaniu i stłumieniu tego porywu warszawskich rzemieślników i czeladników".[6]) Niewątpliwie za słabo podkreślono w tym ujęciu ów charakter „socjalny" i niepotrzebnie oddzielono go od „patriotyzmu". Jak patriotyzm Czartoryskiego czy Chłopickiego nie dał się oddzielić od programu współpracy z Rosją, tak patriotyzm ludu wiązał się niepodzielnie z protestem przeciw istniejącemu porządkowi, przeciw gospodarczemu i policyjnemu uciskowi—był to krótko mówiąc: patriotyzm rewolucyjny.

Drugim czynnikiem łatwo poddającym się społecznemu radykalizmowi było wojsko. Przypomniane przez Mochnackiego zdanie Napoleona, że nikt nie jest bardziej ludem niż wojsko, obowiązywało w ciągu całego powstania. Lud i wojsko stanowiły podporę powstania, zmuszały do liczenia się z sobą najbardziej zdecydowanych kapitulantów, były właściwym motorem wszystkich wypadków. Nie była to siła mała, jej jedyną, za to rozstrzygającą, słabością była polityczna niedojrzałość, uniemożliwiająca świadome kierowanie wypadkami. Radykalizująca inteligencja (cywilna i wojskowa), której historycznym przeznaczeniem było wykorzystanie tej siły, zawiodła na całej linii, okazała zupełny brak orientacji w układzie stosunków, okazała się przeżarta oportunizmem, niezdolna do otrząśnięcia się z pęt patriotycznej i jednościowej deklamacji.

Nadszedł przecież moment, że miara przebrała się. Permanentna zdrada i bojkot powstania ze strony dowódców i rządu zaprzepaściły wszystkie wysiłki, postawiły kraj nad przepaścią. Wówczas to dopiero dochodzi do zamachu 15 sierpnia. Stolica występuje do walki z rozpanoszonym sabotażem, wiesza zdrajców, żąda głów Czartoryskiego i Skrzyneckiego, jako odpowiedzialnych za wszystkie klęski.

Noc 15 sierpnia, jak wszystkie rewolucyjne wystąpienia ludu w dziejach Polski, ściągnęła na siebie przekleństwo ówczesnych i potomnych. Zrzucono na nią całą ohydę świętokradztwa, widziano jako jej źródła nieśmiertelne moskiewskie ruble i pruskie talary, one to miały skłonić rozpasaną tłuszczę do bestialskich mordów. Dopiero ostatnio zaczyna historia nieśmiało rehabilitować „oprawców" sierpniowych, zaczyna widzieć w zamachu 15 sierpnia jedyną drogę ratunku powstania, na którą jednak wkroczono za późno, kiedy rozkład wewnętrzny posunięty był już za daleko, drogę, którą w dodatku nie umiano kroczyć konsekwentnie. Okazuje się dziś, że nocy 15 sierpnia nie robiły „mety"— jak w nas wmawiano przez dziesiątki lat. „Narzędziem zamachu miała być przede wszystkim inteligencja rewolucyjna, a wśród niej 1300 oficerów bez przydziału znajdujących się wtedy w Warszawie... Wszyscy jednak inicjatorowie ruchu i pierwsi sprawcy mordów należeli bez wyjątku prawie do klas zamożniejszych".[7])

Wraca się dzisiaj do poglądu uczestnika tego zamachu Mochnackiego, że noc sierpniowa była dziełem tych samych żywiołów, które wywołały noc listopadową, była jej kontynuacją, drugim aktem. „Powstanie — pisze Tokarz — musiałoby być pozbawione wszelkiego nerwu, gdyby po zawodzie polityki Czartoryskiego i Skrzyneckiego nie próbowało jeszcze chwycić się innych środków działania".[8])

Ta rehabilitacja na równi z rehabilitacją powstań ludowych w r. 1794 ma swoją wymowę nie tylko w odniesieniu do przeszłości. Potwierdza ona zasadę, że warstwy rządzące skłonne są (w chwilach szczerości) przyznać, że lud, że lewica społeczna zawsze w dziejach miała rację, nie ma jej tylko dzisiaj.

W. K. BIEŃKOWSKI

Literatura w malignie

„Nie usiłujcie pisać książek skończonych i na wieczność całą..."
W. Gombrowicz: „Ferdydurke".

Kuglarska poza czy eksperyment? — myśli czytelnik ochłonąwszy nieco z przerażenia po zawrotnej gimnastyce umysłowej, kiedy szukając dróg dla prostej logiki, zwątpił już o mądrości swojej i mądrości w ogóle i kiedy grzebiąc się w świecie „czwartego wymiaru" wyobraził sobie naraz, że to nie tylko „Apteka" Truchanowskiego i nie leżące przed nim „Sanatorium" Schulza, ale sama literatura znalazła się — pod klepsydrą.

W poszukiwaniu „nowych" dróg zaprowadzono ją w ślepy zaułek. Forma prostego i zrozumiałego wypowiadania rzeczy jasnych i widocznych okazała się naraz niewystarczającą. Świadomość i zwykła, normalna rzeczywistość stała się nieciekawym przeżytkiem, natomiast uwielbiona została abstrakcja. Rojenia, marzenia różne, nawroty pamięciowe, skojarzenia, kompleksy... cały rój lotnych zjawisk i objawów znalazł się pod szkiełkiem badaczy - eksperymentatorów. Nie ogół, nie masa, ale jednostka, jej świat wewnętrzny stał się obiektem szczegółowej analizy.

Już nie szerokość, długość i wysokość, służąca do mierzenia rzeczy konkretnych, które można zbadać i sprawdzić, ale potrzebny stał się jakiś inny wymiar — poprostu czwarty. Coś, co kryje się między fizjologicznymi i psychologicznymi zjawiskami. Coś, co jest od nich uzależnione, nieobliczalne — poprostu funkcjonalne. Cóż to za wymiar, który właściwie jest niewymierny? Dziwne, ale wygodne. Pod „niewymierne" można przecież podstawiać dowolne miarki, można dużo mówić bo sprawdzić i tak nikt nie potrafi... Słowem: szczęśliwy konik, którego w poczuciu dobrodziejstwa osiodłał

[6]) Studia, E. Oppman: Warszawa wprzededniu wybuchu listopadowego. S.50.

[7]) Studia... S. 30.
[8]) Tamże.

Freud i na którym teraz, kto może i nie może, wykonuje najdziwaczniejsze galopady. Problem pod- i ponadświadomości przekształca się tu w coraz bardziej nieobliczalne koziołkowanie wyobraźni. Nazywa się to głośno „nowym kierunkiem" — a zaciera istotny sens rzeczy do tego stopnia, że czytelnik nic już nie wie o właściwościach owego „czwartego wymiaru"; nic nie widzi, niczego się nie uczy i gotów jest zapytać się stylem jednego z dowcipnych filarów „nowego" kierunku: kto kogo chce tu „opupić"? Chce zapytać, ale niestety nie zapyta — przeszkodzi mu „ogólna niemożność". Bo ten „kierunek" jest dobrą twierdzą obronną, zbudowaną „na wzór wieży Babel". Bronią go, nie przebierając zbytnio w środkach, jego właśni twórcy, którzy — trzeba to przyznać — są dobrymi znawcami psychiki ludzkiej. Wiedzą, że wystarczy powiedzieć tak, jak Gombrowicz: „im mądrzejszy czytelnik, tym i książka moja okaże się mądrzejsza — im zaś głupszy i bardziej jałowy, tym i książka będzie głupsza", a każdy zechce natychmiast wykazać, iż jest mądry, dzięki czemu książka autora niezmiernie zyska... Odnieść się bowiem krytycznie, znaczyło by zostać głupcem... A któż by miał tyle odwagi? Cóż stąd, że zacznie krytykować? Niczym innym nie będzie w pojęciu wynalazczych autorów, jak tylko godną pogardy „ciotką kulturalną".

Bo człowiek „jest zawsze smarkaczem", boi się mieć własne zdanie, a Gombrowicz i towarzysze wiedzą, że łatwo go „opupić". A „opupiony" myśli sobie: może to ja tylko nie zrozumiałem, na wszelki wypadek lepiej się zachwycać. Ale „jakże ja się zachwycam, kiedy ja się wcale nie zachwycam" i prawdę mówiąc nic nie rozumiem — oburza się coś, co jest w duszy tego i owego, ale na zewnątrz jest niewidoczne. Na zewnątrz wszyscy trwają w ogólnym zachwyceniu. I czytają Schulza, Gombrowicza, Otwinowskiego, Truchanowskiego. Bo nie przeczytać nie wypada.

A niektórzy krytycy, cierpiący na przekorę, jak np. Czechowicz, który swego czasu w „Pionie" na złość innym krytykom powiedział o Truchanowskim, że „kulturze polskiej zaszczyt robi jego absolutna bezkompromisowość, wskrzeszająca jak najlepsze tradycje" — pieją z zachwytu, a raczej udają, że pieją...

A grono przejętych panującym dziś nepotyzmem konfratrów „nowego kierunku" okrzykuje książkę Gombrowicza jako genialną...

I dzieje się tak, że okrzyczani „boscy kuglarze" czarują i intrygują „zieloną gałązką w zębach" jak ów gombrowiczowski żebrak. A „opupiony" czytelnik grzęźnie w mgławicy treściwej, w trzęsawisku gorączkującej imaginacji. Z przerażeniem patrzy na owego ojca z „Sanatorium pod klepsydrą" odbywającego podróż pod postacią raka, na Matyldę z „Ulicy Wszystkich Świętych" przekształcającą się w śpiewającą syrenę. Włosy zaczynają mu się jeżyć na głowie, grunt chwieje się pod nogami. Szuka oparcia w jakimś możliwym umotywowaniu tego obłędnego bełkotu i nagle chce mu się stanąć na jednej nodze, jak to robił burmistrz Truchanowskiego, i zawyć zrozpaczy, jak ów pies na uwięzi u ściany Ratusza. Ale wciąż jeszcze usiłuje coś zrozumieć. Potyka się więc dalej na dziwacznych metaforach, będących częstokroć obrazem jakiegoś wyżywania się erotycznego w słowach i gdy czyta o owym pragnieniu, które „rośnie jak nerwy w kroku dojrzałego dziecka" — czuje i w sobie narastające pragnienie... wybicia pomysłowych twórców po „infantylnych pupach".

I naraz zaczyna się dziać coś strasznego — czuje, że dusić go zaczyna ów „zapach transcendentalny", którym przesiąknięte jest powietrze „wieży Babel". Bo takim zapachem może oddychać nie byle jaki, ale tylko czuły, inteligentny nos „czytelnika prawdziwego". — „Czytelnik prawdziwy, na którego liczy powieść — mówi Schulz — zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na samym dnie zalśnię... blaskiem". Każdy więc chce być tym „prawdziwym" i udaje, że widzi to, czego w ogóle nie widać. A tymczasem dławi go „skondensowany amalgamat wegetatywnych i tellurycznych ingrediencyj", ów motłoch adekwatów i indyferentów, wyciągnięty ze słownika wyrazów obcych.

Powieść tego rodzaju jest zjawiskiem „ponadgatunkowym", tworem „rewolucyjnym", będącym zaprzeczeniem starej formy. Szereg luźnych, niepowiązanych fragmentów bez wszelkiej akcji, stwarzających pozory jednolitości jedynie przez powtarzalność motywów (ojca, burmistrza, sklepu). „Bo zwykłe książki — w mniemaniu Schulza — są jak meteory, każda z nich ma jedną chwilę, moment taki, kiedy z krzykiem wzlatuje jak feniks". Ta natomiast „ma granice otwarte dla wszelkich fluktuacyj i przypływów..." Doskonały wynalazek dla ludzi pragnących zostać powieściopisarzami! Podobnie, jak owa lekkość stylu, którą przechwala się Gombrowicz, mówiąc: „Ejże ty tonie mój, tonie lekkiego felietonu".

I nic nie może rozgrzeszyć istnienia takiej literatury — w druku. Bo czytelnik czeka na rzecz skończoną, a nie na ćwiczenia eksperymentalne, które muszą zostać w pracowni twórcy. „Nie nasza wina — tłumaczy Schulz — jeżeli czasem będziemy mieli wygląd tych sprzedawców niewidzialnych tkanin, demonstrujących w wyszukanych gestach oszukańczy swój towar". Trzeba przyznać, że o ile idzie o wygląd, to autor sta-

nowczo się nie omylił, tylko, że, niestety wypływa natrętne pytanie: a czyjaż to, jeśli można wiedzieć, wina? — chyba nie czytelnika?

Pod szatką zewnętrznych efektów ukrył się „zielony, nierozwinięty pączek“ problemu, podkreślić należy, bardzo ciekawego i oryginalnego. Niepowiązane chronologicznie fragmenty, np. w „Sanatorium pod klepsydrą“, mają być ową księgą symboliczną. „A księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie... Księga jest postulatem... Czułem na swoich barkach ciężar wielkiego posłannictwa“ — zwierza się Schulz. Czyż nie jest grzechem czuć posłannictwo i źle je spełnić? Posłannictwo jest zawsze pewną odpowiedzialnością. Tymczasem autor daje nam nudny i zagmatwany świat rojeń wypływających z najbłahszych codziennych faktów, które mają być ową rzeczywistością, owym polem widzenia dziecka, w które niby ma przenieść czytelnika, lecz które zostaje dla nas wciąż obcym. Takie są perypetie z Bianką i ojcem, zasnute motywem infantylizmu. Góruje on i u Gombrowicza, który demonstruje go posługując się skojarzeniami. Chce on stwierdzić w swym „Ferdydurke“ nie wiele. Nie to jednak, co miał na myśli St. Piasecki. Nie o „trzy banalne historyjki“ mu chodzi; to jest tylko tło, materiał dla oświetlenia „problemu“. Gombrowicz chce stwierdzić i dowieść, że „świat jest podszyty dzieckiem“ — to znaczy, żaden człowiek nie jest tym, czym mógł by być, gdyby nie był ograniczony drugim człowiekiem, gdyby nie dusił się w jego wyobraźni. A tak różne wpływy urabiają go na swoją modłę. Stwarzają „gębę, od której nie ma ucieczki, tylko w inną gębę“. Myśl, trzeba przyznać, oryginalna, ale w jakiejże formie podana? Czy warto czytać 400 stron „Ferdydurke“ w poszukiwaniu cząstki esencjonalnej? Czy warto czytać Truchanowskiego, by ostatecznie wywnioskować, że chodzi tu o jakąś „inną rzeczywistość“? Po przeczytaniu znów zostaje tylko pojęcie, przypuśćmy zjawisko snu — a reszta zapada w niepamięć. Pytanie: po co jest ta reszta?

„Śpię w zadymionej poczekalni — wyznaje nieszczęśliwy bohater, stanowiący obiekt demonstrowania mglistych wywodów autora — o właściwie jestem poza czasem, bo przecież nie jestem świadomy jego mijania... Jak zmęczony podróżny, utykając co kroku, wlokę się po jednostajnych płaszczyznach snu... Odpoczynki moje są krótkie i zdyszane, gdyż księgi... napierają na mnie narastającymi warstwami, gorączkowym bełkotem, niezrozumiałą paplaniną... aż mowa ta staje się nudna...“

Te ostatnie słowa doskonale mogły by scharakteryzować całą twórczość „ferdydurkistów“. Bo patrząc na tę „malignę“, strasznie chce się odnaleźć zwykłą rzeczywistość i uchwyciwszy się jej, choć na chwilę odpocząć od tej cudzej imaginacji. Ale nie ma ratunku, skojarzenia i sny napływają. „Centaur! — Zjawienie się tej pięknej konstelacji wywołuje... korowód kolorowych wizyj z ballad helleńskich“. I stąd chyba metamorfoza burmistrza w „starą szkapę dorożkarską“ i inne dziwa. Ma to być spojrzenie na świat oczyma dziecka, dla którego życie chorego psychicznie ojca jest — jak to widzimy u Schulza czy Truchanowskiego — równie ponoć normalne, jak życie Adeli czy Matyldy, będącej uosobieniem zdrowego, ludzkiego rozsądku. Wejść w świat wiecznego dzieciństwa, który jest ucieczką od świata realnego! Tam jest wieczna „zieloność“, tam nie rozróżnia się pojęć: normalny, nienormalny, faszyzm, demokracja itd.

Przy takiej postawie poczynania Hitlera będą nam równie obojętne, jak poczynania demokracji. I taki chyba sens ma ów osobliwy romantyzm „ferdydurkistów“ — owa idealizacja ‚wyzwolenia“, równie irracjonalna i nieżyciowa, jak wiara w zrównanie wszystkich różnic: narodowych, klasowych ‚wyznaniowych, za pomocą pokojowego wpajania — miłości bliźniego. Jedni bowiem, przejąwszy się misją „wyzwolenia“ — pogrążą się w nirwanę, w „świat dzieciństwa“, będą upajać się czystością i bezpośredniością wrażeń i będą nadstawiać po lewym policzku prawy tym, którzy pozostając nadal w starym, realnym świecie, skorzystają z braku sprzeciwu i „opupią“ ich na całego... przywdzieją na nich brązowe koszulki... a oni, zdolni do wykrycia w karakonie ojca, a w Matyldzie syreny, gotowi będą ujrzeć pod postacią Hitlera — oswobodziciela ludzkości... Podniosą więc prawą rękę i pomaszerują „nach Osten“ i to będzie właśnie ów nowy człowiek, stworzony „na podobieństwo manekinu“. I tak skończy się w praktyce romantyczna bajka o „wyzwoleniu“. Czy to dla tego celu nie należy wpajać w nikogo swych poglądów, zwłaszcza w literaturze? Czy dla tego właśnie książka „musi mieć otwarte granice dla wszelkich fluktuacyj i przypływów“?

Treść zagubiono w powodzi słów i zewnętrznych efektów, co przypomina reklamowe sztuczki producentów tandety, czy głośnych krzykaczy politycznych naszego wieku, usiłujących olśnić, zakrzyczeć człowieka, narzucić mu się i ostatecznie go ogłupić! Czyżby wpływ ich wdarł się już do literatury? Jak wielką, powrotną falą od kultury ku prymitywizmowi są owe prądy, tak obrazem pełnej degeneracji dotychczasowego dorobku literackiego są te dziwolągi kompozycyjno-stylistyczne.

Jakież więc mogą być dalsze perspektywy „ferdydurkizmu“? Były już różne efemerydy, futuryzmy, dadaizmy itd. — szkodliwy, lecz chwilowy nalot, jakim, miejmy nadzieję, okaże się wkońcu i „ferdydurkizm“.

Żeby jednak nikt, narażając się na stratę czasu i obłęd, nie nabrał się na czytanie tej lektury, warto było by wierszyk, który Gombrowicz umieścił przebiegle na końcu, z małymi zmianami umieścić na początku:

Gmatwanina i bomba
kto przeczyta, ten trąba.

Natalia Wiśniewska.

Dekada polityczna

Pożar który się... nie udał

Jak wiadomo, w czasie kongresu radykałów, właśnie w chwili, gdy rozpoczynała się gorąca dyskusja nad mową premiera Daladier, wypowiadającą wojnę Zjednoczeniu Ludowemu, wybuchł pożar wielkich magazynów marsylskich, skoncentrowanych na ulicy Cannebière. Pożar ten, — jak głosiło całemu światu „Deutsches Nachrichten Bureau“, a za nim posłusznie podawały w całej Polsce różne brukowce i świstki — podłożony być miał przez ciemne siły „fołksfrontu“, z komuną i masonerią na czele, jako akt zemsty za wystąpienie Daladiera.

Pierwsze poszlaki, co prawda, wskazywały w innym kierunku. Dziwiło wszystkich, że marsylski świat podziemny był widocznie świetnie poinformowany o godzinie pożaru, gdyż w ciągu kilkunastu

minut, przed przybyciem straży pożarnej i oddziałów policji, zostało splądrowanych kilkadziesiąt wielkich magazynów i mieszkań prywatnych w rejonie objętym pożogą. Był to objaw wielce charakterystyczny, gdyż gangsterzy marsylscy są aktywną siłą polityczną prawicy. Sabiani, jeden z ich szefów, jest czymś w rodzaju wice-Doriota, a brat innego wodza gangsterskiego komenderował na kongresie radykałów bojówką, która nie pozwalała dojść do głosu zwolennikom Zjednoczenia Ludowego. Ale od kiedy to nasze brukowce zważać będą na argumenty, kiedy „Deutsches Nachrichten Bureau" nadsyła komunikaty? Cała Polska czytała tłuste nagłówki o „ludowofrontowych" podpalaczach.

Aż nagle—ucichło. Jak makiem zasiał. Cicho wszędzie, głucho wszędzie. O Marsylii pisać więcej nie należy. Zakazany temat. Czy wiecie dlaczego?

To ciekawa historia. Podczas pożaru przytrzymano pewnego jegomościa, właśnie w chwili, gdy z płonącego hotelu wynosił teczkę z aktami ministra spraw zagranicznych Bonneta. Indagowany przez policję, tłumaczył się, że, widząc pożar, usiłował ratować dokumenty ministra, by uchronić Francję od niepowetowanej szkody na wypadek ich spalenia. Policja, jak policja. Nieufna wobec tak szlachetnych intencji, zaczęła badać personalia płomiennego i gorącego patrioty. Doszła do ciekawych wyników. Oto ofiarny ratownik akt francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, nazywa się ponoć Quaglia, jest obywatelem włoskim i od dłuższego czasu poszukiwany był przez władze francuskie jako zamieszany w morderstwo braci Rosellich. Quaglia jest agentem Ovry (włoski odpowiednik Gestapo). Ostatnio przebywał we Włoszech.

I teraz ludzie zastanawiają się nad pytaniem: skąd Signore Quaglia wiedział tak doskonale, kiedy ma przyjechać do Marsylii, by z płonącego hotelu uratować akta francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i w ten sposób—prawdopodobnie — zrehabilitować się w oczach władz francuskich? Złośliwi twierdzą, że dokładna odpowiedź na to pytanie wyjaśniłaby również komunikaty D.N.B. na temat pożaru i nagłą jego dyskrecję od chwili, gdy stało się wiadome, że Quaglia został aresztowany.

Najgorsze, kiedy się robi kilka rzeczy naraz. I akta p. Bonneta zostały we Francji i ulicy Cannebière nie udało się zamienić w gmach niemieckiego Reichstagu.

Strzały padły w sam czas

Jak wiadomo, ostatni wybuch pogromów niemieckich motywują koła oficjalne Rzeszy zamachem młodego siedemnastoletniego chłopaka żydowskiego na sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu. Wskazywano już w prasie polskiej na dziwne okoliczności tego zamachu: na nieznane dotąd źródło przysłanych Grynszpanowi trzech tysięcy franków, na zastanawiający fakt, że obdartego niemal, żydowskiego chłopaka wpuszczono bez najmniejszych przeszkód do biura sekretarza ambasady. Chcemy tutaj zacytować dwa jeszcze interesujące dokumenty.

W jednym z pism emigracyjnych czytamy w liście, pisanym przez socjalistę, zamieszkałego w Rzeszy, do jednego z jego zagranicznych towarzyszy:

„Tutaj panuje wręcz przeciwieństwo „odprężenia". Rządzi partia tych, którym przeszkodzono w wojnie („der Kriegsverhinderten"). A oni chcą koniecznie mieć swą wojnę. A że nie można jej chwilowo prowadzić na zewnątrz, więc spróbują poprowadzić ją na wewnątrz. Znajomy mój, proboszcz X, mówił mi, że tym razem wszystko zwali się na Kościół, a Żydom nie można już nic zrobić, gdyż są i tak niemal wywłaszczeni i złamani".

„W każdym razie, czy przeciwko Żydom, czy przeciwko katolikom, czy przeciwko ewangelikom: wielka wewnątrzpolityczna ofenzywa czeka nas w najbliższym czasie. Napięcie jest niemal potworne, bo nie można narazie ocenić przeciw komu zostanie skierowany ogień. Prawdopodobnie rozmiary ofensywy przewyższą wszystko, co znaliśmy dotąd".

To było pisane, nim jeszcze Herschel Grynszpan zgłosił się u von Ratha. Powiedzą nam: pismo emigracyjne sfałszowało poprostu po fakcie list. W takim razie zacytujmy organ S. S. hitlerowskich **„Das Schwarze Korps"** nie podejrzany chyba o emigracyjne kontakty. Pisał on:

„Skoro nam Żydzi wypowiadają wojnę — a oni **już to uczynili** — to musimy traktować Żydów znajdujących się w Niemczech, jako poddanych wojującego z nami mocarstwa. Musi nam więc być obojętne, czy trafiamy w winnych, czy w rzekomo niewinnych. Żydzi, znajdujący się w Niemczech, stanowią część światowego żydostwa".

Te zdania znajdują się w numerze z dn. 5 listopada. Zostały więc napisane najpóźniej 4 listopada. W 3 dni później dopiero padły strzały w niemieckiej ambasadzie w Paryżu. Padły w sam czas. W sam czas dla panów z „Schwarzes Korps" i z Gestapo.

Odpływ pomonachijskiego entuzjazmu

Minęły już piękne dni po-monachijskie... Rozwiała się gdzieś w gęstej londyńskiej mgle ta burza entuzjazmu, która witała powracającego do Londynu „latającego anioła pokoju". Pozostał kociokwik. Wybuch pogromów antysemickich w Niemczech niszczy resztki nastrojów chamberlainowskich w Anglii.

Od pierwszej chwili swego powrotu z Monachium Chamberlain opierał się na dwóch podstawowych czynnikach: po pierwsze broniły go wielkie trusty City, z domem Rotszyldów i Bank of England na czele. Po drugie, w opinii publicznej trzymała go wdzięczność przeciętnego mieszczanina, a przede wszystkim przeciętnej mieszczanki angielskiej, wierzącej szczerze i głęboko, że to on właśnie uratował pokój. Trusty, w większości swej, pozostały mu wierne, ale z naiwną wiarą mieszczaństwa jest już o wiele gorzej.

Bo oto ten mieszczuch wierzył bardzo chętnie, chciał w to gorąco wierzyć, że monachijski partner premiera to taki sam „right honourable gentleman", jak i Mr. Neville Chamberlain, uśmiechnięty, dobroduszny i wiadygodny. Tylko na tej jego wiarygodności opierało się przecież zaufanie do arkusza papieru z podpisem obu przyjaciół, mającego zapewnić Anglii „pokój na nasze pokolenie".

A tymczasem... Osobisty gość kanclerza Rzeszy, przyjaciel pp. Goeringa i Goebbelsa, założyciel i prezes Towarzystwa Niemiecko - Angielskiego nagle ogłasza gorący protest przeciwko „barbarzyństwu niemieckiemu". Nagle Sven Hedin, długoletni propagandysta nazizmu w skali europejskiej, odcina się uroczyście od wszystkich jego zdrodni. Nagle cała Ameryka — a autorytet Stanów jest wielki w Anglii — zaczyna srożyć się groźnie. Nagle prymas Church of England każe modlić się we wszystkich kościołach Anglii za ofiary nazistowskich prześladowań a radio brytyjskie przynosi kazanie tegoż prymasa, arcybiskupa Canterbury, nawet wprost do każdego angielskiego domu. Mieszczuch angielski zaczyna się niepokoić: więc tak to wyglądają moi nowi przyjaciele?

A kiedy jeszcze słyszy, że prasa tych nowych przyjaciół zarzuca znanym mu dobrze byłym ministrom Jego Królewskiej Mości, pp. Duff Cooperowi i Churchillowi, że to oni właśnie wcisnęli rewolwer w rękę Grynszpana, kiedy sły-

szy, że, zdaniem p. Goebbelsa, arcybiskup Canterbury, ten sam, co z mocy swego urzędu dokonuje koronacji królów Anglii, jest takim zwykłym sobie „bolszewikiem", to oczywiście zadaje sobie pytanie: co to za ludzie, co oni sobie myślą? Oczywiście nawet z takimi można handlować, ale nie sposób polegać na zawartych z nimi umowach. I dlatego przeciętny mieszczanin angielski zaczyna wątpić o geniuszu męża zaufania Bank of England i domu Rotszyldów, konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii. Że tak jest w istocie, o tym świadczą najlepiej wybory uzupełniające, jakie ostatnio odbyły się w Anglii.

W ubiegłych tygodniach odbyły się wybory takie w pięciu okręgach, reprezentowanych dotąd przez czterech posłów rządowych i jednego labourzystę. Z tego w dwóch okręgach kandydatury chamberlainowskie utrzymały się, choć z poważnymi, sięgającymi kilkunastu procent głosów, stratami. Okręg Labour pozostał w ręku opozycji, przy czym liczba głosów oddanych na Labour wzrosła jeszcze poważnie. Dwa okręgi Chamberlain stracił na rzecz opozycji. W jednym kilkutysięczna większość konserwatywna zmieniła się na takąż większość Labour. W drugim, w Bridgewater, starej, tradycyjnej twierdzy konserwy, przeszedł niezależny liberał Vernon Bartlett, kandydat wspólnego frontu anty-chamberlainowskiego. Strata połowy mandatów, to niezły wynik, jeśli uwzględnić, że dzieje się to w kilka zaledwie tygodni po triumfalnym powrocie z Monachium.

Wynik ten ma daleko idące następstwa wewnątrz partii konserwatywnej. Wiadomo, że fronda anty-chamberlainowska w tym stronnictwie jest bardzo mocna. Buntowników dotąd trzymał na uwięzi urok wpływów Chamberlaina w masach. Dziś ten urok pryska. Wotum zaufania i poparcie dla Chamberlaina, lansowane przez kierownictwo partyjne, uzyskało podpisy 235 posłów. Do normalnej większości rządowej brak około 100 podpisów... Gdyby nie partyjna dyscyplina, Chamberlain już dzisiaj nie miałby większości w Izbie Gmin.

Od siły nacisku społeczeństwa, ruchu robotniczego przede wszystkim, zależy, czy ta możliwość obalenia Chamberlaina stanie się rzeczywistością. Narazie zmiana nastrojów przyczynia się poważnie do utrudnienia mu dalszych kroków filohitlerowskich.

Policzek

Pan Pierre Etienne Flandin zaznał nie dawno poważnej przykrości — nad grobem Nieznanego Żołnierza. „Do Flandina, który zbliżył się do grobu, aby złożyć wieniec, podszedł jakiś przechodzień i spoliczkował go... Przechodniem tym był młody prawicowy adwokat paryski, który oświadczył, że nie mógł się powstrzymać od takiego zareagowania przeciwko b. ministrowi spraw zagranicznych z czasów reokupacji Nadrenii, ponieważ uważa składanie wieńca przez Flandina na grobie Nieznanego Żołnierza za profanację tego grobu".

Tyle sucha wzmianka dziennikarska. Przypominamy, że pan Flandin w najbardziej napiętym momencie politycznym, gdy po zerwaniu przez Hitlera rokowań z „latającym aniołem pokoju" ogłoszono we Francji częściową mobilizację — opublikował zdradziecką, prohitlerowską odezwę do społeczeństwa francuskiego, wzywając je do zsabotowania mobilizacji i przeciwstawienia się obronie ojczyzny przed niemieckim niebezpieczeństwem. Tego było za wiele nawet pp. Daladierowi i Bonnetowi, którzy chcąc nie chcąc, z ciężkim niewątpliwie sercem, musieli proklamację byłego premiera skonfiskować, mimo że wyrażała przecież tylko to, co było i ich najtajniejszą myślą, do czego pokryjomu zmierzali i co w końcu urzeczywistnili. Po Monachium pan Flandin wystosował do Hitlera dziękczynną depeszę za... uratowanie pokoju! Oczywiście dyktator Niemiec odpowiedział w ciepłych słowach. Odtąd Flandin stał się pupilkiem niemieckich kół rządowych, które we wszystkich publicznych wystąpieniach stawiają go za wzór „porządnego Francuza" — na równi zresztą z Daladierem i Bonnetem.

I jeżeli zastanowimy się nad politycznym sensem wypadku, który zdarzył się Flandinowi, to dochodzimy do przekonania, że nie tylko jego samego spoliczkowano nad grobem Nieznanego Żołnierza. Skarcona została tchórzliwa, spekulacyjna, zdradziecka zarówno wobec demokracji, jak wobec narodu francuskiego, polityka pp. Daladiera i Bonneta. Bo Flandin głosił i propagował tylko to, co oni w czyn wprowadzili. Oni właśnie realizowali — w Monachium i w Marsylii — to, za co spoliczkowany został były premier i minister spraw zagranicznych. Nad grobem Nieznanego Żołnierza uderzona została w twarz spreparowana sztucznie większość na marsylskim kongresie radykałów, która zaaprobowała politykę obecnego rządu. Spoliczkowana została polityka cofania się przed hitleryzmem, polityka kapitulacji przed odrodzonym imperializmem pangermańskim.

Karły oskarżają i plują

Z niezwykłym zaiste pośpiechem wstecznictwo czeskie przeprowadza teraz faszyzację ustroju państwowego. Bohaterowie kapitulacji, którzy narzucili swemu krajowi przyjęcie bez walki okrutnych warunków monachijskich, targowiczanie, którzy kornie pochylili się do stóp zwycięzcy (triumfującego bez walki) — połączyli się dziś wszyscy w jeden, reakcyjny obóz zaprzaństwa. Trzonem jego jest prawica stronnictwa agrariuszy, pod wodzą sen. Berana. Dyrygują tzw. sfery gospodarcze z Živnostenska Banka na czele, magnaci cukrownictwa i im podobne żywioły „narodowe". Dokoła agrariuszy skupiają się pomniejsze, zbankrutowane oddawna i odtrącone przez społeczeństwo grupy reakcyjne i nacjonalistyczne, jak endecy (dawna partia Kramarza), faszyści Strzibrnego i Gajdy, różne kliczki i koteryjki „gospodarcze", które w parlamencie wybranym w warunkach demokracji liczyły po kilku posłów.

Rozpoczęła się ohydna kampania oszczerstw przeciw czeskiemu i słowackiemu obozowi patriotycznemu i demokratycznemu, przede wszystkim zaś przeciw Edwardowi Beneszowi. Kreatury, które dotąd siedziały jak mysz pod miotłą a nawet — o ile nie nakłaniały otwarcie do kapitulacji — czynnie wspierały politykę Benesza, dziś wypełzły na światło dzienne i aranżują oskarżenie byłego prezydenta o działalność szkodliwą dla państwa, czy nawet o ...zdradę stanu! Jak słusznie pisał **Kurier Polski**

„trudno oprzeć się uczuciu najgłębszego niesmaku, że do ataku ruszyli ludzie, którzy przez długi szereg lat spełniali wszystkie polecenia „zdrajcy stanu". Żadnemu z nich nie tylko nie przyszło na myśl zrezygnować na znak protestu ze swych posad, ale choćby pośrednio odgrodzić się od tak potępianej po klęsce polityki. Przeciwnie, o ile chodzi o stanowisko p. Ossuskiego, posła czechosłowackiego w Paryżu, jest rzeczą notoryczną, że w resorcie swoim odznaczał się przesadną gorliwością w stosunku do tej polityki, którą uprawiał przez szereg lat były minister spraw zagranicznych i były prezydent republiki".

Na tle tej ofensywy upodlenia i nikczemności trzeba z prawdziwym uznaniem podnieść męskie, pełne patriotycznej godności zachowanie się większości czeskiego stronnictwa katolickiego. Odmówiło ono zglajchszaltowania się z shitleryzowanym blokiem prawicowym.

DO PRZYJACIÓŁ „EPOKI"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI".

POŻYTECZNE WYDAWNICTWO

Ukazał się bogato ilustrowany, 40-stronicowy zeszyt listopadowy miesięcznika spółdzielczego Życie W. S. M. — organu Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Stowarzyszenia „Szklane Domy", żoliborskiego oddziału Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Gospody Spółdzielczej. Numer ten stoi w całości pod znakiem nadchodzących wyborów do warszawskiej rady miejskiej i rozwija program, w imię którego robotniczy i pracowniczy ruch spółdzielczy jako poważny odłam obozu demokratycznego staje do walki wyborczej. Ten pozytywny i konstruktywny program samorządowy demokracji, który nie rzuca grzmiących ale czczych hasełek o „unarodowieniu" stolicy, lecz zawiera postulaty i odzwierciadla interesy najszerszych rzesz ludności warszawskiej, rozwinięty został w artykułach czołowych **kandydatów listy nr 2** z tamtego okręgu, Adama Próchnika i Mariana Nowickiego, oraz St. Tołwińskiego, Henryka Kory, St. Szwalbego i innych Bolesław Dratwa omawia technikę wyborczą, z którą każdy wyborca-demokrata zawczasu powinien się zapoznać. Obóz demokratyczny staje do walki o rządy na ratuszu warszawskim po raz pierwszy od lat jedenastu, po długoletnim okresie rządów komisarskich „których trwanie — czytamy w artykule A. Próchnika — przeciągnęło się ponad wszelką miarę. Rządy te przestały być tylko zarządzeniem tymczasowym, przejściowym, chwilowym, którym powinny być w zasadzie a stały się systemem. Otóż w takich okolicznościach wybory obecnie rozpisane uważać należy za odrodzenie samorządu stolicy. To nie jest już zwyczajne odnowienie swego zaufania przez społeczeństwo, to nie zmiana osób obdarzonych tym zaufaniem, ale to wkroczenie na drogę demokracji na terenie zarządu lokalnego. Chcemy wierzyć, że nie będzie to demokracja skrępowana i bezsilna".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. F. w Pińsku: Na pierwsze pytanie nie możemy Panu odpowiedzieć. 2) „Wici", Warszawa, Książęca 4, „Znicz", Kraków, Radziwiłłowska 23, „Młodzi idą", Warszawa, Warecka 7, 3) Możliwości są, ale jeszcze nie wiadomo, kiedy to przekształcenie nastąpi, 4) Księgarnia Robotnicza, Warszawa, Czerwonego Krzyża 20.

Pani I. P. w Głębokiem: Każda większa księgarnia w Warszawie lub w Wilnie sprowadzi i dostarczy Pani bezpośrednio. Za miłe słowa bardzo dziękujemy.

Pani E. G. w Otwocku: Z braku czasu nie możemy niestety, podjąć się oceny tak obszernej pracy.

Panu J. W. w Bydgoszczy: Riviere: samouczek, Fabre: gramatyka. Radzimy jednak zwrócić się po wskazówki praktyczne do Instytutu Francuskiego, Warszawa, Nowy-Świat. Instytut Wydawniczy Pism Zbiorowych Józefa Piłsudskiego, wyśle Panu bezpośrednio wszystkie prospekty.

Samoukowi w Nowym Dworze: Nie dopuszczano wówczas polskich uczonych do katedr na uniwersytecie warszawskim. Adam Mahrburg (zmarł w 1913 r., pomnik na jego grobie odsłonięto w ubiegłą niedzielę na Powązkach w Warszawie) wykładał przez wiele lat filozofię w tajnym uniwersytecie, t. zw. latającym, który przetrwał w podziemiach 16 lat.

Panu A. P. w Grodnie: Nie skorzystamy. Rzecz nadaje się do dziennika.

Panu P. Z. w Zakopanem: Tygodnik „Społeczeństwo" wychodził w Warszawie w latach 1908, 1909, 1910. Faktycznie pismo istniało dziesięć lat, było bowiem przedłużeniem „Głosu", który po zamknięciu przez władze rosyjskie wychodził przez krótki czas jako „Przegląd Społeczny", w końcu pod nazwą „Społeczeństwo". Pod gradem uderzeń cenzury, która zasypała pismo karami pieniężnymi, „Społeczeństwo" przestało istnieć w 1910 r.

LISTY DO REDAKCJI

NIE BUDUJMY POLSKI NA KŁAMSTWIE!

Dnia 14 b. m. słuchając przez Radio dziennika wieczornego, dowiedziałem się, że w miasteczku Bereznem pow. Kostopolskiego, otwarto w dniu 11.XI. b. r. ze składek społeczeństwa „Dom Społeczny". Jest to nieprawda! Prawdą jest natomiast, że do lokalu Kina dobudowano bufet miejscowego Klubu „Ogniwo", z restauracją, salą karcianą i bilardową. Jeśli nawet, co jest prawdą, na frontonie tego kina umieszczono napis „Dom Społeczny", to wobec braku cudzysłowu, zakrawa to na drwiny Dom społeczny może być tylko tam, gdzie skupia się społeczeństwo dla celów pogłębienia samowiedzy i życia kulturalnego. W kinach i restauracjach zbiera się tylko publiczność.

Jak zaś wygląda sprawa składek społeczeństwa na ten rzekomy „Dom Społeczny", wystarczyć może chyba jeden fakt, że 2.000 cegły, dół wapna i 120 m. kw. dobrych desek, przeznaczonych budżetem na remont szkoły, zabrano z tej szkoły na budowę tego domu.

Nie trzeba robić z „tata" (społeczeństwa) miejscowego wariata. Społeczeństwo miejscowe, mimo okrycia wielką tajemnicą spraw i środków budowy tego bufetu, nie życzy sobie jednak, by dla reklamy osobistej pewnych miejscowych wielkości, stojących przed zbliżającym się dniem wyborów samorządowych, okłamywało za pośrednictwem Polskiego Radia całą Polskę. Czas skończyć w jakiś sposób z metodami zakłamania. Przykro jest słuchać takich kłamliwych wiadomości nadawanych przez Polskie Radio. Trzeba znaleźć na to radę, by autoreklamy różnych małomiasteczkowych wielkości, podlegały akceptacji czynników do tego powołanych. Inaczej zakłamaniu nie będzie końca. Nie róbmy z rzeczy poważnych „Kina". Budujmy Polskę na prawdzie, bo nas na to stać. Kino jest potrzebne, więc niech pozostanie kinem, restauracja też, ale nie nazywajmy tego „Domem Społecznym". Takie ośmieszanie rzeczy poważnych świadczy właśnie o braku uspołecznienia w tym wypadku u autorów tej wiadomości podanej dla ogłoszenia do Polskiego Radia.

Pilny słuchacz Radia.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5519 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.